

LEON RAPPAPORT

DETERMINANTA

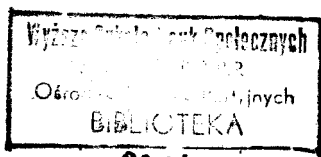
8  
R22

LEON RAPPAPORT

# **DETERMINANTA**

CZYTELNIK • 1961

Obwolutę projektował  
JERZY JAWOROWSKI



8301

©

„Czytelnik”. Warszawa 1961. Wydanie I.  
Nakład 3250 egz. Ark. wyd. 11,5; ark. druk. 13,75.  
Papier dr. m/gł. kl. IV, 65 g, 82×104 ze Skolwina.  
Oddano do składania 10. IX. 60. Podpisano do  
druku 4. I. 61. Druk ukończono w styczniu 1961 r.

Toruńskie Zakłady Graficzne.

Zam. 1802 — A-13 — Cena 30.— zł

Printed in Poland

## RADON

Noc. Przy stole pochylony nad papierami siedzi Radon. Od czasu do czasu nerwowo ociera duży palec o pozostałe. Ręka spoczywa na łokciu opartym o stół, dłoń uniesiona jest w górę. Nie przestaje przy tym uporczywie wpatrywać się w leżący przed nim, zapisany drobnym pismem zeszyt. Nagle wyciąga rękę na stole, przez parę sekund trwa nieruchomy, potem jak by ocknąwszy się zaczyna bębnić palcami. Jest podniecony, jak gdyby w gorączce. Zerwał się i z opuszczoną głową kilka razy przeszedł się tam i z powrotem po pokoju; zatrzymał się przy brzegu stołu i z ukosa popatrzył w zamyśleniu na zeszyt; potem ruszył dalej. Zatrzymał się przy oknie i wpatrywał się w ciemność, po chwili oderwał się i biegiem niemal doskoczył do stołu. Coś pisał, potem ściskając głowę w dłoniach z wyrazem rozpaczony wpatrywał się w zeszyt. Potarł czoło, rzucił się w tył na krześle, powoli wstał i położył się na wznak na łóżku; jego nogi zwisają z krawędzi łóżka, dłonie rąk założone są pod głowę, łokcie sterczą po obu stronach bladej, podnieconej twarzy, wzrok utkwiał w sufit.

Myśl stacza walkę: twardą, zajadłą, nieustępliwą. To trwa już przeszło dwa tygodnie. Skupione są wszystkie siły duchowe i hart woli. Chwilami napięta do ostateczności myśl staje się nabrzmiała, bolesna i wtedy umysł ogarnia zamęt i chaos, a człowiekowi wydaje się, że jest bliski szaleństwa. Wewnątrz nawołuje coś w takich chwilach do rozwagi. „Spokój, spokój, wróć do punktu wyjścia i zaczynaj od nowa”.

Przeżył już szereg klęsk, wstydlivych jak niepowodzenia seksualne, i szereg błysków nadziei, złudnych jak marzenia. Nieraz ogarniała go rozpacz, to znów szalona radość. Ale zagadnienie, pomimo straszne wysiłku, nie ruszało z miejsca.

Trzeba było walczyć nie tylko z zagadnieniem, trzeba było również walczyć z sobą, z własną słabością, gnuśnością, bezwładem. Umysł automatycznie unikał wysiłku twórczego, bronił się przed nim z zaciekłością i konsekwencją godną podziwu, bronił się i wtedy jeszcze, gdy myśl była już w biegu twórczej inwencji. Coś, co zazwyczaj wydaje się człowiekowi swojskie, miękkie i miłe, a co teraz odczuwał w sobie jako wrogi żywioł — pchało go ustawicznie w kierunku najmniejszego oporu. Podejmował próby, które omijały sprawy istotne — dlatego tylko, że te próby nie nastęrczały większych trudności. Kilkakrotnie już posuwał się wzdłuż pewnej drogi, która za każdym razem prowadziła do beznadziejnej gęstwiny rachunków. Ale wciąż zaczynał to samo od nowa. Wiele czasu upłynęło, nim zdecydował się ostatecznie porzucić tę drogę, a i później oglądał się za nią pożądlivym spojrzeniem. Gdy w pewnym stadium poszukiwań wypadało znaleźć uogólnienie i w tym celu należało wyjść niejako z płaszczyzny uogólnianej sprawy, wznieść się wyżej, aby uzyskać niezbędną perspektywę — myśl, nim to właśnie uczyniła, poszukiwała przez dłuższy czas uogólnień banalnych, mechanicznych, kołatała się bez sensu w rozmaitych kierunkach i tłukła bezmyślnie jałową sprawę.

Kusiła go często chęć rezygnacji. Wtedy powracała gnuśna fala: „Nikt przecież nie szacuje wyników podług zamierzeń; to tylko ty wiesz, czym są wobec postawionego zagadnienia osiągnięte wyniki, a raczej wiesz, że są w gruncie rzeczy niczym; poza tym jednak wyniki są wcale interesujące i twoja praca nie poszła na marne”. Grzebiąc bowiem wciąż i dłubiąc dokoła swego zagadnienia, opanował dokładnie jego aparaturę techniczną. Wprawne i obyte oko dostrzegało najrozmaitsze zależności i związki między poszczególnymi elementami i fragmentami aparatu technicznego, dla kogoś innego niedostrzegalne, a nawet na pierwszy rzut oka niezrozumiałe. Wysilając myśl, po dłuższych poszukiwaniach znajdował coś niecoś po drodze. Wtedy ogarniała go pokusa potraktowania dostrzeżonych spraw jako nowych odkryć. Nie chciał wiedzieć, że prze-

tasowywał po prostu fragmenty aparatury technicznej zagadnienia, jak się tasuje talię kart.

Nieraz w toku twórczych wysiłków, gdy już zarysowywał się poszukiwany wynik — wstrzymywał nagle bieg myśli i delektował się niewyraźnym konturem osiągniętego rezultatu. Była w tym po części obawa, że wynik okaże się fałszywy, po części nagła potrzeba marzenia. Miejsce skupienia twórczego zajmowało nieziszczone pragnienie naukowe. Myśl omijając wysiłek twórczy przeistaczała się w kompleks marzeniowy, który niekiedy pozostawał w płaszczyźnie rozważań naukowych, a wtedy były to olśniewające perspektywy daleko idących konsekwencji, kiedy indziej znów wtapiał wynik naukowy w sprawy swego osobistego codziennego życia i wtedy fabuła marzeniowa toczyła się wzdłuż zdeformowanych spraw życiowych — ku wielkości. Skupiona myśl skradała się pokonując wszelkie trudności aż pod sam próg poszukiwanego wyniku, aby w ostatniej chwili przeistoczyć się w marzenie.

Wewnątrz trwał bierny opór. Tkwił przyczajony i niedostrzegalny w samym środku włókien psychicznych kształtujących wysiłek. Jak zaraza, jak pasożytnicza narośl trawił owe włókna, rozkładał je, deprawował twórczą myśl. Ustawicznie wypadało łamać ten opór, a było to niezwykle trudne zadanie, ponieważ nie był on właściwie przeciwstawieniem się czemuś, nie był w ogóle czymś zewnętrznym, dostrzegalnym przez świadomość, lecz nieuchwytnie spod progu świadomości kierował nurtem myśli, wyjaławiając ją z wszelkiej twórczej substancji.

Rzeczywistość, w której coś trzeba było dojrzeć, zdawała się przykryta szeregiem powłok; spoza nich nie można było rozpoznać właściwych kształtów. W rzadkich chwilach bezpośredniego zetknięcia się z samą istotą rzeczy, kiedy myśl po prostu widziała, a w polu widzenia była jasność i niezwykle natężenie piękna — wtedy i sama rzecz, w którą wpatrywał się, i to, co przeżywał, było bezimienne, stanowiło niezwykle przejrzystą, ale niesformułowaną masę psychiczną. Aby dotrzeć do tych nienazwanych objawień, trze-

ba było zerwać powłokę przykrywającą rzeczywistość; trzeba było zwalczyć, przetworzyć w sobie aparat analityczny, za którego pomocą jedynie przecież można było o rzeczy mówić. Funkcje, wzory, wyrażenia analityczne, szeregi — te sprawy wiązały się z pewnymi intuicjami, które wydawały się prymitywne i nierozkładalne, a w doświadczeniu wewnętrznym wyglądały jak ruchliwe żyjątka psychiczne. Bywało tak: funkcja posiadała własność, z którą umysł był oswojony, i ta własność wiązała się z intuicjami geometrycznymi; ale własność ta wystąpiła kiedy indziej w sposób zupełnie nieintuicyjny, a nawet zdawało się dla intuicji geometrycznej niedostępny, jak owa sławna krzywa, która w żadnym punkcie nie posiada stycznej. Wtedy wypadało odwoływać się do zawilego układu zależności, który stanowił wyraz analityczny własności funkcji, trzeba było o d e r w a ć zakorzenioną intuicję od związanej z nią sprawy i wnioskować na podstawie oderwanego od intuicji sformułowania pierwotnego. Było z początku uczucie obcości i niepewność poruszeń, jak po ciemku, i zaciekawienie, jak też to wypadnie; a potem radość pokonania trudności i uczucia piękna, które tkwi zawsze w odrywaniu intuicji i ich wspinaniu się wzwyż. Potem trzeba było oswajać się z ukształtowaną intuicją wyższego rzędu, nawiązywać sieci skojarzeń — w psychice wykuwał się nowy, prymitywny i nierozkładalny składnik myśli i jednocześnie opadała jedna z powłok ukrytej prawdy, a w duszy przepływała fala szczęścia.

Czasem podczas poszukiwań odkrywał znane mu od dawna klasyczne twierdzenia Analizy i z uczuciem podziwu stwierdzał, że wydają mu się one nowe, jak by je teraz dopiero zrozumiał. To było tak, jak gdyby dawniej znał treść tych twierdzeń i rozumiał ich sens i dopiero teraz mógł widzieć to, co poza nimi się kryło. I to, co widział, było na daleko wysuniętej, otoczonej mgiełką wzruszeń linii myślowej, gdzieś, dokąd, jak mu się wydawało, nikt jeszcze nie dotarł. Było ostre wycucie śladu, po którym posuwała się myśl, wycucie wyrafinowania i skoków, którymi się posuwała, i odległości, do której dotarła. Potem, po paru dniach, gdy wzruszenia opadły i zostały

zapomniane — pojawiało się uczucie zdziwienia wobec samego siebie: „Jak ja potrafiłem to zrobić?” — i niedowierzanie, aby ktokolwiek mógł powtórzyć jego twórczą drogę.

Różne były stadia rozumienia jednej i tej samej rzeczy; najpierw rozumienie formalne, rodzaj sprawdzania, kiedy myśl stwierdza, że wszystko jest w porządku, zgadza się i jest wolne od sprzeczności. Ale temu rozumieniu towarzyszył zawsze niepokój, niepewność i jak gdyby uczucie braku czegoś. Potem, gdy tworzyła się sieć skojarzeń tej rzeczy z innymi — rozumienie stawało się pełniejsze; pogłębiało się coraz bardziej, gdy zagęszczała się sieć zależności i związków. Wreszcie następowało wzniesienie się ponad płaszczyznę, w której rozpięta była sieć skojarzeń, uzyskanie perspektywy, z której dopiero widoczna stawała się rola i znaczenie badanej rzeczy w pewnym obszarze zjawisk, i charakterystyczne pytanie: o co właściwie chodzi? Odpowiedź wypadła z natury rzeczy w terminach ogólniejszych i to stanowiło dalsze pogłębienie rozumienia, zdawałoby się ostateczne. W doświadczeniu wewnętrznym było uczucie pełni i radość z dokonanego wyczynu. A teraz okazało się, że rzeczy, które — jak mu się zdawało — znał i rozumiał do dna — były mu dotychczas obce. Dopiero gdy w toku twórczych wysiłków stawały się narzędziem działania, nabierały osobliwego sensu i budziły podziw, jak gdyby teraz dopiero rozumiał je. Przeżywał wtedy uczucie odkrywcy.

Przez ustawiczne, nie kończące się próby, sprawdzania, wycieczki rachunkowe w najrozmaitszych kierunkach — ujarzmił stopniowo a niepostrzeżenie aparaturę analityczną zagadnienia. Powracało od czasu do czasu uczucie niepokojów i niepewności, przeważnie gdy występowały wartości osobliwe funkcji; przykre uczucie, że coś się tam dzieje w punktach osobliwych, nie bardzo wiadomo co, i że koniecznie trzeba to zbadać. Wtedy śledził rzecz metodycznie i konsekwentnie do końca i z wytrwałością likwidował napotykaną wątpliwość. Jeszcze niedawno musiał zatrzymywać się przy pewnych skomplikowanych pojęciach, ilekroć je napotykał; doznawał wtedy uczucia lekkiego zamętu i dezorientacji; musiał powracać do zawitych



definicji i metodycznie, powoli zdawać sobie sprawę z ich właściwego sensu. Teraz te pojęcia, osadzone mocno w oczku gęstej sieci skojarzeń, obejrzone z wielu punktów widzenia, użyte w twórczej pracy samodzielnie, świadomie i celowo — przeżywał wtedy intensywną radość życia — stanowiły błysk, prosty, zwinny i posłuszny poruszeniom myśli. I myśl poruszała się coraz swobodniej i pewniej w skomplikowanej budowli analitycznej. Wytwarzała się osobliwa i n t y m n o ś ć w stosunku do spraw występujących w zagadnieniu; funkcje kuliste, forma tensorowa równania, stożek świetlny — były jak dobrze znane słowa w znanym tekście — wystarczy rzucić okiem, uchwycić po jednej lub po dwie litery z każdego, a sens napisanego zdania, prawie całkowicie omijając brzmienie poszczególnych słów, trafia do świadomości. Ta intymność miała w sobie coś z inwencji artystycznej, którą może ujawnić pianista, skoro opanował całkowicie stronę techniczną utworu. Istotą jej zdawała się łatwość, z jaką poszczególne pozycje analityczne przekształcały się na bezimienne składniki świadomości; sprawność wymiany pomiędzy kotłowskiem sformułowanej wiedzy, rozpostartej tuż nad progiem powierzchni świadomej, a niezintelektualizowaną jeszcze masą psychiczną w podświadomości.

Tak oto od czasu gdy tu przebywał w zupełnej samotności całymi dniami, a nieraz i po nocach, zapominając o jedzeniu i wypoczynku, borykał się z zagadnieniem, podważał je ze wszystkich możliwych stron, opanowywał środki analityczne, wpatrywał się wytrwale, aż do zupełnego zmęczenia, w niewyraźnie rozplywające się zarysy tego czegoś, co odczuwał jako rzeczywistość, a co kryło w sobie rozwiązanie; kształtował w sobie nowe intuicje, wprowadzał do walki pojęcia, metody, stanowiska, które dawniej znał tylko formalnie, jego stosunek do otaczających go zjawisk stawał się intymny, nawet jakby z odcieniem poufałości. I stopniowo, w miarę jak upływał czas, zdawało się mu, że powłoki przykrywające ową rzeczywistość opadają, a wyłaniające się coś staje się coraz wyrazistsze; chwilami było tak, jak gdyby to było całkiem blisko, tuż, tuż. Wpatrywał się wtedy z zapartym oddechem, w niezwykle podnieceniu, ale

to coś oddalało się po chwili i rozplywało, a w duszy wzbierała rozpacz i rezygnacja.

Błądził. Jest to stara prawda, że błąd w dziejach ludzkiej myśli posiada może niemniejsze znaczenie niż prawda. Są błędy użyteczne, nabrzmiałe inwencją. Są prawdy niezupełne lub przybliżone, które mogą być płodniejsze niż te same prawdy obstawione zastrzeżeniami. To są błędy gatunku, które wyrównywane są wraz z rozwojem szeregu pokoleń. Te nie sprawiają nikomu cierpienia. Ale są błędy osobnicze, które muszą być usunięte natychmiast; te są źródłem trosk i zgryzot, są czasem źródłem niezwykłych wzniesień i tym głębszego upadku.

Pewnego dnia natrafił na rzecz, która go zaskoczyła: oto w pewnym konkretnym wypadku nie sprawdzało się dobrze mu znane twierdzenie. Pobieżna kontrola nie ujawniła przyczyny. Tymczasem twierdzenie to posiadało wielkie znaczenie w jego badaniach. Zdezorientowany umysł poszukiwał właściwego gatunku intuicji, za pomocą której mógłby się do rzeczy zabrać. Ale ani wyobrażenie sobie sprawy geometrycznie, ani powiązanie jej z jakimś organicznie związanym zespołem faktów, ani intuicja analityczna i przewertowanie wchodzących w grę definicji — nie przyniosło wyjaśnienia. Stan takiego podświadomego poszukiwania właściwego gatunku intuicji trwał dosyć długo i był niezmiernie przykry. Odczuwał go jako pustkę myślową, dezorientację, to znów jako pewnego rodzaju niepewność, a nawet niepokój. Aż nagle, za pomocą skoku myślowego, który w doświadczeniu wewnętrznym nie został ujawniony, po prostu stwierdził, że niesprawdzanie się twierdzenia pochodzi stąd, że w danym konkretnym wypadku nie zostało spełnione jedno z założeń twierdzenia. Ale widocznie ruch w podświadomości, który ujawnił nieoczekiwane błąd, płynął szerszym korytem; zauważył jednocześnie, że to może mieć jeszcze inne doniosłe znaczenie, i silnie podniecony zabrał się do przeprowadzenia dokładnej kontroli.

Pewnego dnia zabrnął daleko w badanie niezwykłych konsekwencji pewnego wyniku, który otrzymał. Odczuwał

wprawdzie lekki opór, wrażenie, że to wszystko jakoś zbyt gładko idzie, ale wyłaniające się perspektywy były zbyt podniecające, parokrotnie nawet, jak gdyby na skutek działania klapy bezpieczeństwa, regulującej natężenie wysiłku i stopień zmęczenia — przekształcały się na marzenia matematyczne, a wtedy przerywał pracę i trwał tak w stanie rozmarzenia, aż do chwili kiedy wyładowany został nadmiar podniecenia. Znalazł się wobec wielkich możliwości i przeżywał chwile upojenia. Wkrótce jednak zaczęły ukazywać się rysy i pęknięcia; otrzymane konsekwencje były niezgodne z wynikami otrzymanymi poprzednio, które zdawały się pewne ponad wszelką wątpliwość. Ogarnęła go pustka myślowa, w umyśle coś jak by rozsunęło się i gdziekolwiek wokoło padała ciskająca się w konwulsyjnych podrygach myśl — nie było żadnego zaczepienia. Ten stan chaosu trwał krótko, potem ogarnęła go rozpacz. Jednakże nie poddawał się jeszcze, postanowił sprawdzić rzecz całą systematycznie od samego początku. Powróciło owo zapomniane już uczucie oporu i przeświadczenie, że otrzymane wyniki muszą być fałszywe, i jeszcze przykre uczucie łatwizny, która w tym wszystkim tkwiła. Sprawdzał jednak wytrwale dalej, szukał źródła sprzeczności — bez skutku. To trwało już zbyt długo, wypadało skończyć z tym. Zdecydował się już zrezygnować, ale za każdym razem znajdował coś, co wzniecało iskierkę nadziei, i to coś wciągało go znów w beznadziejne poszukiwanie błędu. To było denerwujące, czuł się coraz bardziej rozdrażniony. Gnębiła go świadomość traconego czasu, uczucie, że zbyt oddalił się od zagadnienia głównego i zabrnął po pas w trzęsawisko, z którego niepodobna się wydostać. Ale kształtujące się, szczególnie z rana, wciąż nowe pomysły zmuszały go do powrotu ku znieawidzonym szlakom. Pewnego popołudnia w kontrolowanym od rana pomysle, wśród zawilych, piętujących się w nieskończoność rachunków, spostrzegł pospolitą omyłkę: sprawdzanie wypadało podjąć od nowa. Wtedy nagle w stanie najwyższego wzburzenia cisnął z wściekłością zeszyt o ziemię. Palce rąk jego drżały, był blady. Spojrzał na podłogę: granatowa okładka zeszytu, który leżał koło łóżka, zawinęła się i zeszyt usiadł sztorcem na podło-

dze, spoza okładki wysunęły się do połowy dwie środkowe strony, wyrwane z górnego spinacza. Patrzył jakiś czas jakby w rozterce, potem z wyrazem zupełnego wyczerpania odwrócił głowę i spojrzął przed siebie na kwitnący za oknem ogródek. Potem oparł głowę o dłonie i patrzył długo, niewidzącym wzrokiem, w jakiś obojętny punkt na ścianie. Twarz jego zdawała się wyrażać bezmyślność.

Tegoż dnia wieczorem pracował już dalej nad swoim zagadnieniem głównym. Kilka dni później, wczesnym rankiem, kiedy leżał jeszcze w łóżku i przyglądał się z zaciekawieniem drgającej plamce światła na ścianie, nagle spadło jak z nieba wyjaśnienie. Należało uwzględnić występujące w rozumowaniu dwie równorzędne grupy czynników, z których jedna była bardzo intuicyjna i z tą od dawna był oswojony, druga natomiast zupełnie nieintuicyjna, nie wiązała się w sposób widoczny z konsekwencjami, w które wpatrzona była myśl; ta powodowała wewnętrzny opór. Teza, na której się oparł, była dalej idąca, zawierała jak gdyby coś więcej niż poszukiwaną prawdę. Ale umysł, jednostronnie nastawiony, skłonny był za prawdziwą uważać tezę, która zawierała więcej niż tę prawdę, o którą chodziło. W świadomości zakorkowany został cały obszar, w którym był zamknięty układ owych czynników nieintuicyjnych. Myśl utraciła dostęp do nich i konsekwentnie je omijała. Ale to było tak, jak gdyby zakorkowanie tego obszaru w świadomości było w pewnym sensie celowe. Z tej bowiem strony zarysowywała się możliwość uzyskania doniosłych wyników i otwierała się perspektywa rozwiązania zagadnienia głównego. Chciał tedy, a to pragnienie wiązało się z niezwykłym natężeniem wszystkich sił duchowych, aby rozwiązanie w tym kierunku istniało. I to było zapewne powodem, że w podświadomości został ściśle zakorkowany pewien obszar, którego zawartość przekreślała z miejsca możliwość projektowanej drogi. Tak powstał błąd. Przeżył jeszcze jedną serię wzlotu, kiedy to gotów był obwieścić natychmiast o swoim odkryciu, a doniosłość uzyskanego wyniku wprawiała go w stan upojenia — i tym głębszego upadku, rezygnacji i rozpacz.

Wybierał drogi, które musiały być wybrane. To był rodzaj

naturalnej eliminacji możliwych metod. Chwytał się oczywiście najpierw metod mechanicznych, które zdawały się omijać istotne trudności, ale często rzecz doprowadzona z mozołem do pewnego punktu wprawiała myśl w przerażenie i padało hasło: „Stój”, a myśl, przekonana o zupełnej beznadziejności przedsięwzięcia, zawracała. Wtedy dopiero decydował się na zaatakowanie sprawy wzdłuż nowej drogi. Tak tedy zabrał się kiedyś do bezpośredniego obliczania pewnego szeregu, ale po paru dniach, przy trzecim wyrazie ugrzązł w rachunkach, które komplikowały się i rozrastały w sposób beznadziejny i przygnębiający.

Zdarzały się błędy trywialne, po prostu pomyłki, które stwarzały chwilowe złudzenia i prowadziły do wyników na pozór doniosłych i niespodzianych. Wtedy dzięki podświadomym pragnieniom i oporom omyłka przez długi czas pozostawała nieujawniona. Aż pewnego dnia, gdy budził się, błąd stawał mu nagle jasno przed oczami i wtedy przebudzenie się przynosiło ze sobą gorzkie rozczarowanie.

Długotrwały wysiłek koncentrowany w jednym punkcie powodował kilkakrotnie osobliwe złudzenia. Pozostawało mianowicie poczucie śladu, wzdłuż którego posuwała się myśl. Wspomnienie ogromu wysiłku czyniło, że ślad wydawał się niepomiarnie długi, wyrafinowanie dziwaczny, niezwykły. Jak gdyby myśl zabrnęła w dziewicze obszary, gdzie nikt jeszcze nie był. Ślad otoczony był rojem intensywnych wzruszeń, a znaleziony chwyt wydawał się doniosły i piękny. Po paru dniach, gdy opadała wzniesiona długotrwałym wysiłkiem zadymka wzruszeniowa, następowało otrzeźwienie i rozczarowanie. Okazywało się, że błędził krętymi drogami i osiągał w końcu to, co było proste i leżało na wierzchu. To były drobne wstydlive klęski, o których nigdy nikt się nie dowie. Ale parę razy w takich wypadkach ogarniało go nieopisane przerażenie: „A może wszystko, wszystko, co ja teraz robię, okaże się tak samo błędzeniem i tak samo moje metody okażą się trywialne i nigdzie nie prowadzące?” Ścisnął wtedy mocno w dłoniach pochyloną nad stołem głowę, opierając o stół rozstawione łokcie i patrząc bezmyślnie przed siebie; krew spływała mu

z twarzy, przez pierś przepływały obrzydliwe fale zimnego przerażenia i pustki.

Usiłował pokonać pewną trudność. Była to wyjątkowo złośliwa sprawa. Od kilku dni wciąż do niej powracał bez najmniejszego skutku. Podejmował coraz to nowe próby, które do niczego nie prowadziły. Wyliczenie możliwych przypadków w rozumowaniu powodowało w nim na ogół uczucie zrozumienia. Tymczasem jednak przypadki możliwe nie tylko nie dawały się wyliczyć, ale były wręcz nieuporządkowane. Ogarniała go dezorientacja i zamęt. Sprawa tkwiła korzeniami w pewnym obszarze zagadnień, szukał tedy rozwiązania wewnątrz tego obszaru, podważał sprawę coraz to z innej strony, wiązał ją z coraz to inną grupą zagadnień wciąż wewnątrz obszaru. Chwilami zdawało mu się, że przeczuwa rozwiązanie, rzucał się tedy w kierunku, gdzie przewidywał, że znajdzie się wyjaśnienie, i trafiał na nieprzewyciężone trudności techniczne. Nie, tą drogą stanowczo nic nie da się zrobić; zastanawiał się tedy dalej.

Pewnego dnia namyślał się, a to namyślanie się było jak bierne wyczekiwanie umysłu na coś. Zdarzało się to już nieraz, że myślenie było jak gdyby całkiem bezprzedmiotowe — niepodobna byłoby dostrzec w jasnym punkcie świadomości żadnych strzępów wyobrażeń, żadnych zdań, sądów, wniosków, sformułowań. I to nie były chwile wypoczynku zmęczonej długim wysiłkiem myśli, przeciwnie — największe znużenie umysłu następowało po takiej właśnie bezprzedmiotowej kontemplacji. Trwał tedy w stanie zawieszenia czynności myśli i patrzył niewidzącym wzrokiem na zapisaną kartkę zeszytu; głowę miał pochyloną prosto przed siebie, punkt na papierze natomiast, w który utkwiony miał wzrok, był z boku. Patrzył zatem w bok, ale za żadne skarby nie poruszyłyby teraz głową — stan bezprzedmiotowej kontemplacji wiązał ruchy.

Obudziło go z tego stanu nagle, gwałtowne poruszenie myśli. To było tak, jak gdyby ów obszar, w obrębie którego błędził przez ostatnie dni, tworzył w podświadomości kompleks myślowy, który posiadał własność przyciągania uwagi. Myśl trafiła jak kosa na kamień na jedną z najbardziej istotnych i zarazem wrogich własności umy-

wicie podświadomie. Na powierzchni świadomej nie było żadnych oznak, że coś się w głębi odbywa. Pewne metody, pojęcia, z chwilą gdy się z nimi zapoznawał, wydawały mu się niejasne, budziły uczucie niezrozumienia, oporu. Potem przez długi czas nie stykał się wcale z tymi rzeczami. I otóż nagle w pewnej chwili okazało się, że te rzeczy nie budziły już więcej oporu, rozchwiało się gdzieś po drodze uczucie niezrozumiałości, wyparowała trudność. Pojęcia były jasne, a myśl zdawała się oswojona z nimi od dawna.

Często podczas zastanawiania się nad jakąś kwestią przerwał pracę. Miał wewnętrzną potrzebę, rodzaj przymusu, zaprzestania wysiłków. Chodził w takich wypadkach po pokoju i myślał o sprawach obojętnych albo wyglądał oknem. Kiedy indziej znów zabierał się do innej roboty. Coś w nim pod progiem świadomości czuwało jednak i spoglądało jakby z ukosa na pozostawioną sprawę: „Czy już? czy można już powrócić?” I znów coś w nim, nie zakłócając biegu obojętnych myśli, odpowiadało: „Nie, jeszcze nie teraz”. Coś miało ukształtować się w podświadomości i wynurzyć się na powierzchnię świadomą i to należało pozostawić w spokoju i nie płoszyć żadnym zbędnym wysiłkiem. Po pewnym czasie wracał do porzuconej sprawy jak by z niedowierzaniem, powoli i ociągając się, czasem znów podniecony, z radosnym pośpiechem.

Pokonanie trudności można było przewidzieć tylko wtedy, gdy trudność była natury technicznej, gdy chodziło o wykonanie pewnej określonej liczby prób albo przerobienie zawitych rachunków lub dokonanie mechanicznego uogólnienia... Te sprawy mogły wymagać nawet największego nakładu pomysłowości, intuicji i trudu, ale to nie była trudność istotna: owo bezimienne żyjątko psychiczne, które przekształcało się na poczucie wewnętrznego piękna. To, co można było przewidzieć, było w gruncie rzeczy jałowe. Rzeczy istotne ukryte były w mroku: nic nie można było tam rozpoznać, niczego przewidzieć; wszystko, co się tam działo, było nieoczekiwane i cudowne jak objawienie. Aby zbliżyć się tam, trzeba było ukształtować coś w sobie, zmienić swoje ustosunkowanie do rzeczywistości, odsunąć dalej od siebie środek układu wszechrzeczy, który wciąż jeszcze

tysiącami korzeni, pomimo olbrzymiego twórczego wysiłku myśli, niewzruszenie tkwi w człowieku i tworzy w nim nieprzebytą zaporę rutyny i bezwładu.

Była nieruchoma upalna noc. W otwartym oknie fantastycznie oświetlone liście krzewów; dalej nieprzejrzana czerń. Zapach kwitnących lip.

Przed chwilą wpadł mu do głowy jeden z tych pomysłów, które otwierały możliwości nowych niezwykłych wyników. I jak to się często zdarzało, zamiast zabrać się natychmiast do analizy zagadnienia, trwał jak by w stanie wyczekiwania na marzenie. Oparł głowę na dłoni i przyglądał się światłocieniom za oknem nie myśląc o niczym. Przyszła Paulina ślać łóżko; młoda dwudziestoletnia córka gospodarzy. Nie zwrócił na nią z początku uwagi. Krzątała się tego dnia dłużej niż zwykle. Spojrzał lekko zirytowany: kiedy narreszcie przestanie się krzątać i pójdzie sobie — stała odwrócona i nisko pochylona nad łóżkiem, układała widocznie coś przy ścianie; szeroka spódnica zadarła się nieco i odsłoniła kształtną łydkę. Zauważył, że trwa tak nieruchomo i nic nie robi, jak by na coś czekała czy przysłuchiwała się. Gorąca fala przeszła nagle przez pierś i uderzyła mu do głowy; serce pchnięte gwałtownie biło szybko i mocno. Paulina skończyła z łóżkiem i przeszła do umywalki. Przechodząc zatrzymała się tuż obok jego krzesła, nieco z tyłu. Stała tak przez parę sekund. Nie podniósł opuszczonej głowy. Potem nachyliła się, oparła łokcie o stół i wysuwając brodę naprzód usiłowała zajrzeć do zapisanego zeszytu. Powiedziała stłumionym głosem: — Że też panu nie sprzykrzy się tak wciąż siedzieć nad tym pisaniem.

Był jeszcze niezdecydowany; spojrzął na nią zmieszany i odpowiedział niepewnie:

— Nie, nie nudzę się...

Jakiś czas milczeli; potem wyprostowała się i lekko, nieznacznie się przeciągnęła.

— Starzy pojechali do Wojnowki na wesele... pewno wrócą dopiero jutro na wieczór...

Wystarczyło wyciągnąć rękę — stała tuż obok. Obraz



pochylonej smukłej postaci, szerokich bioder i jędrnych piersi mącił w głowie. Ale jednocześnie głęboko w podświadomości budził się zajadły opór, pewność, że Paulina — to rezygnacja; to czynnik rozbijający od wewnątrz skupienie. Rozbudzi bujny świat wzruszeń, barwny i pstry — będzie pożądanie i gorąca radość posiadania; będzie może tęsknota i wezbrana radość życia. Ale za to coś, co płynęło z głębi i przetwarzało się dotychczas na chłodną dumną myśl — rozprysnie się, jak spadająca na ziemię rtęć, na setki drobnych, błyszczących, zachłannych spraw. Zaniknie uparta potrzeba wysiłku, usunie się owa tajemnicza rzeczywistość, która chwilami zdawała się być tak blisko; zaniknie rozbita, rozsadzona, sponiewierana twórcza myśl.

Nagle, nie wiadomo którędy i jak to się stało, spadło wewnątrz gwałtowne postanowienie: „Nie!” Ale ani samo postanowienie, ani kłębiące się dokoła niego argumenty nie posiadały, zdawało się, żadnej siły wykonawczej, spływały po wezbranych pragnieniach, zanikały. Czuje, że za chwilę odwróci się, podniesie głowę do góry, spojrzy na nią, uśmiechnie się trochę dziwnym uśmiechem i nic nie mówiąc wyciągnie rękę. Tymczasem jednak głowa wciąż jeszcze jest opuszczona i pochylona nad stołem. Więc tak? Więc nie da sobie z tym rady? A zresztą po co? Nowa gorąca fala przeszła przez pierś, pchnęła rytm tłukącego serca i na chwilę przesłoniła wszelkie myśli.

Niepodobna znaleźć wewnątrz nic, co potrafiłoby wstrzymać bieg wezbranych pragnień. Ale jest coś, i może to właśnie jest istotą człowieczeństwa, co potrafi przeciwstawić się im z chwilą, gdy będą miały zamienić się na czyn.

Nagle gwałtownie odwrócił się na krzesło; ruch był tak raptowny, że krzesło o mało się nie przewróciło. Spojrzał na nią zimnym i nieprzyjaznym wzrokiem, a jego twarz była wykrzywiona od złości. Krzyknął:

— Więc co z tego, że pojechali?

Cofnęła się przerażona o krok; przycisnęła rękę do lewej piersi, tam gdzie serce, i próbując uśmiechnąć się, zawołała:

— Och, przestraszył mnie pan. Co panu?...

Wyraz jego twarzy zmienił się, zjawilo się zaciekawienie, wreszcie niepewność i zmieszanie. Opuścił głowę, siedział

bokiem na brzegu krzesła i patrzył w róg stołu; zamyślił się. Wreszcie przemówił powoli:

— Panno Polu, ściele pani łóżko zamiast pięć minut pół godziny; potem kręci się pani niepotrzebnie po pokoju, zagląda pani do moich notatek, kładzie się na stole i usiłuje bawić mnie rozmową. Tymczasem ja jestem zajęty i każda chwila jest mi niezmiernie droga. Proszę panią, usilnie proszę...

Paulina nie mówiąc słowa wybiegła z pokoju; drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

Zapach kwitnących lip i gorąca czarna nieruchomość nocy. Była przecież przed chwilą tak blisko; i jeszcze teraz jest gdzieś tu w pobliżu. Natrętne obrazy nie opuszczały go. Siedział przy stole, chodził po pokoju, stawał w oknie i wpatrywał się w ciemność. O, gdyby teraz wróciła... Coś stuknęło w sąsiednim pokoju, potem lekko zatrzeszczało. Przystanął i przestał oddychać. Nasłuchiwał, wyciągając głowę i nie zmieniając pozycji; wokoło była zupełna cisza.

Wyskoczył oknem do ogródka, przeszedł parę kroków; okno pokoju, w którym sypiała, było oświetlone. Z bijącym gwałtownie sercem, starając się posuwać jak najciszej, podszedł do okna i ostrożnie zajrzał do środka. Leżała na łóżku na wznak, ręce zarzucone w tył, jedna noga wyprostowana i wyrzucona w bok, druga zgięta w kolanie oparta była o ścianę. Rozpięta bluzka odsłaniała prawie całkowicie pierś. Jakiś czas wpatrywał się w nią chciwie. Potem nagłym ruchem oderwał się od ściany i poszedł przed siebie. Pragnął zawrócić, i przyspieszał kroku; szedł coraz prędzej, prawie biegiem. Wyszedł w pole, przeszedł przez tor kolejowy. Tam ciągnęły się moczary. Szedł jednak dalej. Wśród nieprzejrzanых ciemności dostrzegł do stawów i nagle wpadł po pas w trzęsawisko. Ogarnęło go przerażenie. Zawrócił. Stąpając z wysiłkiem po grząskim dnie, zapadając w muł i potykając się w zupełnych ciemnościach, posuwał się w kierunku, gdzie, jak mu się zdawało, był las. Po długim błędzeniu wydostał się wreszcie z bagna i zmoczony po szyję, oblepiony mułem błędził jeszcze długo, nim natrafił na naszyp kolejowy. Gdy wrócił do domu, było już bardzo późno. Pauliny nie było.

Upłynęło kilka dni, czas mijał szybko, ze zdumieniem stwierdzał niekiedy, że zapadająca ciemność to po prostu zmierzch, ale w perspektywie wydawało się, że upłynęły tygodnie. W tym czasie przeżył znów szereg niezwykłych złudzeń. Opanowany wiarą w słuszność osiągniętych wyników, w stanie egzaltacji, gotów był obwieścić na wszystkie strony o dokonanym odkryciu. W takich chwilach Paulina stawała się mała, nieważna, obca; zacierała się ostrość wspomnień, zanikała możliwość poddania się. Było nieujawnione poczucie zwycięstwa nad nią, pewność ogromu własnego stanu posiadania i przepychu wewnętrznego życia i równoczesne wyobrażenie bezmiaru jej człowieczego ubóstwa. Budziła się litość dla niej, a ta litość stanowiła kres wyzwolenia. Rozkwitały w tym czasie marzenia — niekiedy były to spekulacje naukowe, światoburcze, przełomowe, kiedy indziej po prostu ludzkie marzenia o sławie.

Potem w wezbrane marzenie wpadało nagle odczucie błędu i cały gmach rozpadał się w gruzy. Zwężał się gwałtownie widnokrąg i perspektywy myślowe. Ogarniało go zwątpienie i rozpacz. I wtedy, w chwili upadku twórczego i klęski, zanikała sprawa Pauliny, podobnie jak zniknęłaby wobec grożącego niebezpieczeństwa lub w obliczu śmierci.

Obraz Pauliny powracał jedynie wraz ze zmęczeniem wewnętrznym, wraz z ogarniającą go pokusą rezygnacji, chęcią kompromisu i powrotu do życia. Natarczywe wizje oplatające wyobrażnię nawiedzały go — gdy słabło czujne napięcie woli, ustawiczna gotowość do wysiłku i walki — w chwilach zahamowania i zamierania twórczego rozpędu.

Któregoś dnia wieczorem czuł się zupełnie wyczerpany duchowo. Niepowodzenia waliły się od jakiegoś czasu na jego skołataną głowę jedno po drugim. Wtulił czoło i zamknięte oczy w przegub leżącej na stole, zgiętej w łokciu ręki i trwał tak jakiś czas w stanie bezmyślnego zapomnienia. To były chwile najgłębszego upadku i beznadziejnej rozpacz. Nikt nie był winien temu, co było; nie było w ogóle ludzi wokoło jego cierpienia; i cierpienie żadną miarą nie mogło dostrzec samo siebie, ażeby znaleźć od-

prężenie we własnym ogromie. To była męka bez możliwości pocieszenia, bez możliwości złudzenia, że samotność nie jest tak ostateczna, że gdzieś istnieje bliskość człowieka, współczucie i ulga. Męka była szorstka i twarda; niosła w sobie chłodną bezwzględność myśli. To było tak, jak gdyby rozsuwały się pola myślowe i wszystko wokół waliło się w przepaść, a jednocześnie zdruzgotana, oszalała z przerażenia nadzieja miotła się, ażeby odwrócić to, co się stało, ażeby powstrzymać nieuniknione a straszliwe jak śmierć zapadanie się ogromnej i misternej budowy myślowej.

Z widocznym wysiłkiem, jak by usiłując dźwignąć wielki ciężar, wysunął głowę, powoli obrócił się i oparł policzek na dłoni. Głowa była ciężka, leżała bezwładnie na przegubie dłoni; czuł uwieranie w kość policzkową; zęby uciskały wewnętrzną powierzchnię warg. Nie wykonał jednak najmniejszego poruszenia, ażeby zmienić pozycję. Niewidzący wzrok utkwiony był przed siebie i padał na ścianę. Coś ścisnęło go mocno w gardle; zaczął nagle bezdźwięcznie łkać, wciągając ze skowytym powietrze; wydawał dziwne, przeciągłe dźwięki, które brzmiały jak zduszone, beznadziejne wycie. Uniósł głowę, nie przestając skowycić, rozejrzał się po pokoju, potem wstał, ruszył przez pokój, uniósł w kącie duży dzban z wodą. Łkając wciąż konwulsyjnie i chwytając w otwarte usta powietrze nachylił się nisko nad miednicą, z wysiłkiem przechylił dzban i wylał zimną wodę na pochyloną nad miednicą głowę.

Potem wytarł twarz i wrócił do stołu. Długi czas siedział podpierając dłońmi głowę i usiłował zebrać myśli. Czynił w myślach przegląd dotychczasowego dorobku i sytuacja przestała wydawać mu się tak bardzo beznadziejna. Po jakimś czasie przemógł się i zabrał do pracy. Pracował intensywnie z ogromnym wysiłkiem myślowym — do późna w nocy. Wyników nie było. Fioletowa jasność zaznaczyła się w oknie.

Powoli wstał od stołu, przeszedł ostrożnie stąpając przez pokój i osunął się na łóżko.

Zasypiał. Nie był w stanie jawy ani też w stanie całkowicie sennym. Oczywiście miał zamknięte. Ktoś mówił do niego prędko, wyraźnie, napastliwie. Napastliwie nie w sensie zarzucania mu czegoś, lecz uporczywie, bezustannie, w sposób naprzykrzający się. Miał przy tym pewność, że to mówi określona osoba, jego szwagier. Niepodobna było zapamiętać treści ani nawet uchwycić sensu tego, co było mówione. To było dokuczliwe i w pewnej mierze zależne od jego woli: repliki, zarzuty i przekonywania. Nie umiałby powiedzieć, jak długo to trwało. Wreszcie zasnął.

(Z najgłębszych, organicznych, a więc nie nabytych warstw podświadomości płyną zapewne ruchy, wytwarzane regularnie przez samo toczenie się wewnętrznego życia. Ruchy te przedostając się do świadomości budzą rozmaite uczucia, zależnie od tego, którą drogą szły przez masę podświadomości nabytej. To mogą być uczucia estetyczno-myślowe, uczucia przedmarzeniowe, radość życia albo podniecający przedsmak sukcesu osobistego w życiu codziennym. Płynące z głębi ruchy zahaczają o te czy inne warstwy podświadomości. Gdy myślimy intensywnie nad jakimś zagadnieniem — ruchy zintelektualizują się w postaci uczuć estetycznych, związanych z jakąś obserwacją lub odkryciem; mocno absorbujący nas splot warunków życiowych przekształca się na uczucie przedmarzeniowe, z którego wyłoni się owiane mgiełką wzruszenia jądro marzeniowe. To jest tak, jak by pewne warstwy podświadomości w danym okresie nabierały siły przyciągania; ruchy płynące z głębi zostają odchyłone we właściwym kierunku i odpowiednio intelektualizują się. Tak jest zazwyczaj.

Może się przecież zdarzyć, że ruchy te, odchylenia i przyciągania zostaną z tych czy innych przyczyn zakłócone. Wtedy zaburzone będą również i ich intelektualizacje. Płynące z głębi intensywne ruchy, gdy osłabnie kontrolująca czynność intelektu, ominą ogniska w podświadomości i zahaczają o jakieś sprawy obojętne i błahe. Wtedy te obojętne wyobrażenia nabierają osobliwego uroku i wyjątkowego znaczenia. Następuje uderzająca rozbieżność pomiędzy wartością obiektywną wyobrażenia a jego barwą wzruszeniową. Wszelka niewłaściwa ocena wartości, zdarzająca się w sta-

nach przedsennych lub pod wpływem silnego skupienia wewnętrznego albo na skutek działania niektórych narkotyków — to konsekwencje wadliwego intelektualizowania się płynących z głębi podświadomości twórczych prądów.

Jest tak, jak gdyby barwa wzruszeniowa wszelkich spraw w podświadomości pochodziła stąd, że sprawy te kiedyś omyte zostały przez owe prądy; aktywność pewnych pokładów podświadomości, ich zdolność przebijania się ku jasnemu punktowi świadomości, łatwość intelektualizacji — zależy od ich nasiąknięcia płynącymi z głębi ruchami. A z drugiej strony — urok, znaczenie, doniosłość wszelkiej ukazującej się w świadomości sprawy tkwi w jej barwie wzruszeniowej — bezimiennej intelektualizacji twórczego ruchu. Co się tedy stanie, gdy twórczy prąd wyniesie ku świadomości sprawę błahą i obojętną?

Oto notatka z przeżycia pod wpływem gazu rozweselającego:

„Zasłona wieczności podniosła się... wszystko stało się dla mnie jasne. Powracając do stanu normalnego pamiętałem o swym postanowieniu, podszedłem chwiejąc się do biurka i napisałem niekształtnymi literami prawdę, która ogarnia wszystko, którą pamiętałem jeszcze cokolwiek. Oto słowa, które napisałem: Silny zapach terpentyny panuje wszędzie”).

Śniło mu się, że drogą do stacji jechały na rowerach cztery osoby. Jechały tak ładnie, że pozostawało wrażenie, jak gdyby to był jeden rower. Koło zagrody Łępickiej skręcili do Gadaja. Znalazł się tam na rowerze, wkrótce okazało się, że to motocykl. Jechał lasem bardzo prędko, miał przejechać sześćdziesiąt kilometrów. Zjedanie przestrzeni miało zupełnie taki sam charakter, jak układanie marzenia, w którym coś stopniowo rozbudowuje się. Były obliczenia, że ten odcinek przejedzie tak a tak prędko, że inny odrobi w takim to czasie, ponieważ jest trudny; była wielka oszczędność czasu i zadowolenie z powodu odwalanych kawałów przestrzeni. Początkowo droga prowadziła lasem, potem musiał powoli przebyć odcinek trudniejszy — półkole na brzegu jeziora. Był to zresztą niewielki odcinek, za to później szła gładka ścieżka wzdłuż jeziora, którą

popędził z zawrotną szybkością. Jeszcze dalej ścieżka się rozszerzała, pędził wciąż równie szybko.

Grali w siatkówkę. Ta gra regulowała i doskonaliła w jakiś sposób stosunki socjalne. Powracała w widzeniu sennym w sposób napastliwy. Wyglądało to tak, jak gdyby z powodu tej gry następowała jakaś harmonia. Było jeszcze wyraźne uczucie w związku z tą grą, jak by przeprowadzenie jakiegoś dowodu. To nie miało żadnych konkretniejszych cech; było tylko najogólniejsze poczucie, które konkretyzowało się w najlepszym razie w postaci jakiegoś szeregowania: „Po pierwsze, po drugie, po trzecie...” — również nie wiadomo czego.

Śniło mu się jeszcze coś, ale nie potrafiłby opowiedzieć, co to było. Równoległe z tym snem było wciąż rozwiązywanie jakichś zawiłych rachunków matematycznych. To rozwiązywanie i te symbole tak były wlepione w akcję, że odgrywały rolę racji, usprawiedliwień następstwa faktów. Niepodobna oddać tego za pomocą słów. Zdawało się, że te rachunki — pozostał mu w pamięci obraz znaczków i greckich liter — nie różniły się rodzajowo od zdarzeń. Były czynnikami w akcji. W logicznym i psychologicznym następowaniu po sobie faktów stanowiły czynniki tym faktom równorzędne, a nawet odgrywały rolę kierowniczą i decydującą.

Rano po śniadaniu wyszedł w pole. Szedł miedzą i wdychał z rozkoszą zapach świeżo skoszonej koniczyny. Wokoło był spokój i cisza, jaka zdarza się tylko w pogodny dzień w otwartym polu, jak by zawieszona w przestrzeni. Dochodziły z daleka, z pola, odgłosy rozmowy: dźwięki były niezwykle wyraźne na tle nieruchomej ciszy, zarazem niezmiernie dalekie i całkiem bliskie. Niewidzialny pastuch wołał skądś na niesforną krowę i te okrzyki odcinały się na tle cichego bezruchu, zarazem przenikliwe i łagodnie stłumione. Daleko we wsi rozległo się ujadanie psa, barwa tego płynącego z otchłani brzmienia była dziwnie miękka. Wszystkie odgłosy zdawały się zanurzone w nieruchomej

ciszy i pogłębiały ją. Było coś kojącego wokoło: spokój, świeżość i zapach koniczyny.

Szedł powoli, patrząc pod nogi, ażeby nie zsunąć się z wąskiej i nierównej miedzy, i tylko od czasu do czasu rozglądał się po polu. Wsłuchiwał się w ciszę, w dochodzące z różnych stron przytłumione odgłosy. Ogarnęła go chęć uchwycenia ciszy nie zakłóconej żadnym dźwiękiem, śledził tedy uważnie jasne brzmienia i przekonywał się, że z tej czy tamtej strony, to znów z paru stron jednocześnie, ale płyną nieprzerwanie. Zatrzymał się, nachylił z zaintrygowaniem głowę i słuchał dalej. Niedaleko szła przez pole mała dziewczynka i niosła z wysiłkiem niemowlę odchylając w tył głowę i plecy. Przypląnęły z daleka wyraźne w najdrobniejszych odcieniach odgłosy ostrzenia kosy.

Nagle błysnęła myśl:

„Całka funkcji szukanej na stożku świetlnym znika tożsamościowo przy odpowiednim doborze parametrów”.

Stał jak wryty. Potem zawrócił szybko do domu. Ogarnęło go podniecenie, pełnia szczęścia i natchnione poczucie przenikliwego piękna. Od czasu do czasu do burzy wzruszeniowej wdzierały się błyski nowych pomysłów; wtedy przyspieszał kroku i prawie biegł przez pole. W myśli padają przyczyny, konsekwencje i wnioski, wybuchając jasnym światłem, jakby połączone spalającym się knotem. Podobnie podczas burzy pojedyncze potężne uderzenie piorunu rozbija się na zwały mniejszych uderzeń, to wzbierających, to niknących w oddali, wśród groźnych pomruków.

„Dla funkcji kulistych jest to przecież niemal oczywiste...”

„To jasne, że całka powierzchniowa, rozciągnięta na powierzchnię stożka, przekształca się na dwie całki liniowe wzdłuż jego przecięć kołowych...”

Nadmiar podniecenia wyładował się w szybkości porużeń, w licznych zbędnych ruchach rąk i ciała. Zatrzymał się przy jakimś malcu, który nie mógł udźwignąć worka, i troskliwie, z przejęciem, pomógł mu zadać worek na plecy. Ogarnęło go przy tym rozrzewnienie i miękkie uczucie ciepła dla wszystkich spraw tego świata.



Nie było w nim najmniejszych wątpliwości, że rozwiązanie jest trafne. Pomimo że rzecz nie była sprawdzona ani żadne rachunki przerobione jeszcze, niósł w sobie niewzruszoną pewność i ta pewność była mocniejsza niż wszystkie najdokładniejsze wywody.

Trzeba było opracować wynik. Piętrzyły się wciąż nowe i liczne trudności, ale to była teraz już tylko kwestia czasu. Opracowywał rezultaty z uczuciem oporu, niechęci, chwilami obrzydzenia. Jego twórcze osiągnięcia, cały obszar zagadnień, w którego ramach rzecz miała być zredagowana, istniał w jego psychice nienazwany, barwny, otoczony powłoką wzruszeniową, przesiąknięty pięknem. Było coś upokarzającego w przekształceniu tego świata wzruszeń na zbiór poszczególnych elementów analitycznych, dowodów, założeń, nawiązań do rzeczy poprzednich, wniosków. Te rzeczy wydawały się zubożone, odarte z uroku, chwilami budziło się w duszy zdziwienie, że to jest to samo, i zaraz potem rozczarowanie, niechęć i wstręt. Rzeczy, które w chwilach szukania ujawniały się nieoczekiwanie i rozpraszały ciemność, teraz eksplicytowane metodycznie wydawały się wyprane z wszelkich wzruszeń estetycznych, po prostu pozbawione piękna. Silił się tedy, ażeby w redagowanym tekście zintelektualizowało się jak najwięcej owych wzruszeń. Wykład był niezmiernie zwięzły; przytoczone było tylko najniezbędniejsze, resztę należało dopełnić przy czytaniu, na własną rękę. Roilo się tam od eleganckich skrótów, wytwornych pomysłów, nieoczekiwanych i uderzających wypadów. W paru miejscach za pomocą formy wykładu usiłował zadrwić sobie ze swoich licznych poprzedników, wśród których znalazłoby się niejedno wielkie nazwisko; to, co było dotychczas osiągalne zaledwie dla poszczególnych wypadków drogą niezmiernych wysiłków analitycznych, za pomocą najbardziej wyrafinowanych sztuczek — przedstawił bez żadnych wstępów i omówień, w sposób ostentacyjnie zwięzły i prosty, a było w tym sposobie przedstawienia rzeczy coś z dumnego tryumfu.

## SEMINARIUM

W lokalu seminarium z powodu wczesnej pory było zaledwie kilka osób. Ożywiony ruch rozpoczynał się dopiero o godzinie siódmej.

Przy długim stole siedziała panna Irena — brzydka i pozbawiona wszelkiego wdzięku studentka. Czarne włosy z przedziałem pośrodku zebrane były z tyłu w wielki węzeł; wyłupiaste ciemne oczy pod gęstymi czarnymi brwiami były pozbawione wyrazu — ogromny nos, małe ściągnięte usta i jakby opuchnięte policzki dopełniały reszty — miała nadto zbyt wydatny biust. Przerzucała kartki w kartotece, umieszczonej w podłużnej tekturowej skrzynce — pisała monity do osób, które przetrzymywały wypożyczone z biblioteki seminaryjnej książki. Studiowała na uniwersytecie już około dziesięciu lat. Od ośmiu lat pełniła bezinteresownie pomocnicze funkcje administracyjne w seminarium. Trudno byłoby teraz dociec, dlaczego właściwie zapisała się przed dziesięcioma laty właśnie na wydział matematyczny, a nie na jakikolwiek inny. Czowała się tu, w samym centrum ośrodka naukowego, u siebie. Zaspokajało to jej ambicję — wszystko, co tu było — długie, ustawione wzdłuż ścian szafy z rozsuwającymi się oszklonymi drzwiami, pełne książek, wielkie oszklone gablotki z ustawionymi wewnątrz najróżnorodniejszymi bryłami gipsowymi o dziwacznych kształtach i wymyślnymi rusztowaniami z drucików, ogromne głębokie szafy z przyrządami mechanicznymi, marmurowe popiersia — to wszystko należało w pewnym stopniu do niej. Było coś z poufałości w jej stosunku do samego lokalu i do rzeczy, którymi był wypełniony, i dlatego że innym to samo miejsce i te same rzeczy wydawały się uroczyste i wzbudzały nieśmiałość — czuła się wywyższona nad nich, a w piersi wzbierała pewność siebie i poczucie własnego znaczenia. Ale głęboki nurt

przesuwającej się tu nauki pozostawiał ją zimną, nietkniętą i niewzruszoną — omijał ją, jak mijają płynące wody kamienny filar mostu.

Przy tablicy magister Burke, który przed chwilą przyszedł, prowadzi ożywioną rozmowę z doktorem Przybyszem, starszym asystentem seminarium, gestykułując żywo, tyka kredą wciąż w jedno miejsce na tablicy, które jest już prawie zupełnie zamazane, jest podniecony, a na twarzy jego maluje się natchnienie, jego gesty są sugestywne: oto w tej chwili wyciągnął przed siebie ręce trzymając je w sporej odległości od siebie i złożył dłonie jak by podtrzymywał wielką szklaną kulę. Z paru urywków zdań, które dosłyszała, zdawałoby się, że mogła zrozumieć coś z tego, o czym mówili — to dotyczyło zresztą jej specjalności. Rzeczywiście przestała przerzucać kartki, odwróciła nieznacznie głowę w ich stronę, wpatrywała się w jakiś punkt na stole, trzymając między wielkim i wskazującym palcem pióro oparte o stół w postawie pionowej. Czekala, gotowa w każdej chwili powrócić do swego zajęcia, aż skończą — czekała, jak się czeka, aż przeminie hałas przejeżdżającego wozu. Nie wypadało przecież przerwać ich rozmowy w środku. A tymczasem dla magistra Burkego miała już książkę, którą zamówił, a doktora Przybysza wzywali do telefonu w sprawie wyjazdu.

Przy tymże stole, bliżej okna, siedzi druga wolontariuszka seminarium — panna Ola. Leżą przed nią na stole kartki katalogowe biblioteki. Jest w białej jedwabnej bluzce z krótkimi rękawami i granatowej spódnicy — marynarkę od kostiumu trzyma w ręku młody, przystojny student, który stoi pochylony nad nią za jej krzesłem. Zadarła głowę do góry, patrzy na niego z boku, od dołu, i uśmiecha się. Jest śliczna, świeża i zgrabna. Mówi półgłosem:

— Więc niech pan przyniesie te płyty — tylko że mój patefon jest nienadzwyczajny...

I rozgląda się niespokojnie po sali.

Brzydka naturalnie nienawidzi ładnej — uważa ją za piąte koło u wozu. Twierdzi, że pracuje nieporządnie, że wprowadza bałagan i zamęt; spóźnia się na dyżury, zapomina brać rewersy na pożyczone książki; nie odkłada książ-

żek na miejsce, jak należy; wiecznie by tylko flirtowała i flirtowała, i co pięć minut łapała za puderniczkę i róż...

A ładna odwzajemnia się pogardliwą ironią.

Pannę Irenę irytuje ta przyciszona rozmowa, pochylone ku sobie głowy i tłumione śmiechy. Jej irytacja stopniowo wzbiera; mruczy w duchu: „Saski Ogród tu się robi do licha...” Nagle odzywa się:

— Panno Olu, pani tu zapisała drugi tom Goursata na konto pana Jonesa, a tymczasem jest rewers od pana Pawlikowskiego.

Zarzut wpada w rozbawiony nastrój, trafia w wezbrany śmiech i wywołuje konsternację.

— Doprawdy? Widocznie pomyliłam się...

Wstaje, zbliża się do kartoteki i sprawdza. Jest zmieszana i zarumieniona.

— Tak, trzeba to poprawić.

— Ja myślę. Będziemy pisali monit do pana Jonesa, a ten przyjdzie i zrobi wielkie oczy. Nie, niech pani pozwoli, ja to już sama załatwię.

Panna Ola wraca na swoje miejsce skonsternowana i zła. Student pochyla się nad nią i coś szybko mówi wskazując dyskretnie oczami na pannę Irenę. Po chwili oboje parszczą śmiechem. Panna Ola chwyta się oburącz za głowę, wciąga z pośpiechem, głęboko powietrze i szepce mu do ucha poprzez tłumiony śmiech:

— Och, panie, to jeszcze nic, ale ten kapelusz, ten kapelusz. Pan to musi zobaczyć, koniecznie, koniecznie...

Doktor Przybysz stara się słuchać uważnie, co do niego mówi Burke. Czasem gdy czytamy książkę, w pewnej chwili okazuje się, że przeglądamy wprawdzie tekst, ale nie chwytamy sensu i równocześnie z przeglądaniem i nierozumianym tekstem biegną myśli, które nas żywo interesują i absorbują; tak było i teraz: doktor Przybysz słucha i jednocześnie myśli o czymś zupełnie innym. Rozważa mianowicie, czy warto postawić przygotowane pytanie Burkemu, czy też zachować je dla kogoś innego. To nie są właściwie rozważania; w myśli ukazuje się frapujący moment posta-

wionego zagadnienia i jednocześnie szczególnie eleganckie i nieoczekiwane fragmenty rozwiązania. Wtedy odczuwa jakby wewnętrzne pchnięcie — ogarnia go pragnienie, aby zreferować natychmiast sprawę. Ale jednocześnie zjawia się opór i hamuje wewnętrzny ruch: czy nie szkoda tej sprawy dla Burkego...

Doktor Przybysz na terenie seminarium stawia czasem swoim starszym kolegom i przełożonym pytania, ale tylko takie, które ujawniają jego wysoki poziom naukowy i daleko posuniętą specjalizację. Poziom naukowy tych pytań jest uprzednio z zachowaniem wszelkich ostrożności dokładnie sprawdzany. Doktor Przybysz zna naturalnie odpowiedź na postawione pytanie, które zazwyczaj wybrane jest tak, ażeby oprócz wysokiego poziomu zaskoczyło przeciwnika ukrytą sensacyjnością lub pikanterią.

Postawione pytanie to rodzaj wysłanej dyplomatycznej noty. Wysłana nota ma przede wszystkim wroga zaskoczyć, pognać go i ujawnić jego słabość — skoro jest nie dość silny; i ma odsłonić własny jego, doktora Przybysza, przegromny zapas wiedzy oraz inteligencję, a zarazem uzyskać uznanie — skoro nieprzyjaciel jest dostatecznie mocny. Doktor Przybysz posiada zdolność wyjątkowo subtelnej oceny właściwej pozycji ludzi zbierających się we środy w seminarium. Ta zdolność oceny nie uzasadnianej obiektywnie, a zarazem trafnej, jest jak węch. To jest coś, o czym nie mówi się, co pozostaje wyłącznie na własny, najbardziej intymny użytek, a co decyduje o sposobie, w jaki doktor Przybysz traktuje ludzi. Nie ma właściwie ludzi w seminarium, są tylko powleczone ciałami ludzkimi walory. I doktor Przybysz rozgląda się, pozornie spokojny i zrównoważony, w zgiełku i rwetesie giełdowym, i czyni nieomyślne posunięcia. Znaczenie ludzi wznosi się i opada jak kursy akcji, trzeba czym prędzej nabywać walory idące w górę i pozbywać się tych, które spadają.

Opanował wezbraną chęć postawienia swego pytania: Burke posiada stanowczo zbyt mały ciężar gatunkowy. Jednocześnie zauważył w kącie pokoju docenta doktora Okulicza przeglądającego jakieś czasopismo. Burke tymczasem wciąż mówi, od czasu do czasu argumentując za

pomocą żywej gestykulacji i prowadząc jakieś kreski i spirale na zasmarowanej kredą tablicy. Doktor Przybysz skupił na chwilę uwagę, uchwycił kilka ostatnich zdań, nagle przerwał mu i wypowiedział jakieś niezmiernie ogólne, a zatem mało obowiązujące wątpliwości. Przez grzeczność, ale już lekko zniecierpliwiony — postać docenta Okulicza wywoływała w nim bowiem ostre poruszenia wewnętrzne i potrzebę natychmiastowego czynu — odczekał replikę Burkego, ale gdy tamten zamierzał powrócić do meritum rozważanej sprawy, przerwał mu ponownie:

— Nie, nie mogę się z panem zgodzić; zresztą musiałbym nad tym pomyśleć; ale w tej chwili muszę już pana przeprosić, bo właśnie mam pilną sprawę do omówienia.

I odszedł. Magister Burke, któremu przerwano wywody w połowie zdania, pozostał zmieszany i nieruchomy ze zwiśającymi bezwładnie rękami. W dłoni wciąż trzymał niepotrzebną już kredę. Na twarzy jego pozostało podniecenie i zastygły głupkowaty uśmiech — mieszánina pozornego grzecznościowego uznania ważności powodów, które skłoniły doktora Przybysza do przerywania rozmowy, i niewysłowione uczucie poniżenia i własnej słabości. Po chwili odwrócił się do tablicy i stał z opuszczoną głową dłuższy czas, jak by namyślając się. Wyprostowywał na tablicy nierówne kreski i poprawiał kropki, ażeby były okrągłe.

Docent doktor Okulicz przywitał doktora Przybysza chłodno, a nawet lekceważąco. Uniósł pochyloną nisko nad książką głowę, popatrzył zza okularów, kto mu przeszkadza, i wyciągnął na przywitanie rękę; po czym prawie natychmiast opuścił głowę z powrotem. Ale doktor Przybysz jeszcze coś mówił, spojrzał tedy pytająco i z odcieniem niezadowolenia; po chwili jednak zmarszczył brwi i nachmurzył się, coś widocznie wydało mu się interesujące.

— Zaraz, zaraz, więc jak pan mówi?

Przeszli do tablicy. Doktor Przybysz z pośpiechem wycierał tablicę; gąbka była sucha; ujawniając gorliwość, a zarazem wyładowując podniecenie wymyślał na nieporządki i na nieudolność woźnego. Wreszcie zabrał się

do referowania sprawy. To trwało dość długo. Okulicz stał nachmurzony i patrzył spode łba. Od czasu do czasu potrząsał przecząco głową w sposób ledwo dostrzegalny, unosił oczy ku górze i patrzył w bok, jak by sobie coś przypominając; nie zmieniał przy tym postawy ciała ani nie poruszał głową, jak gdyby zbędne poruszenie miało rozproszyć skupienie i rozszczepić biegnący nurt myśli; nie poruszając się, wzniesieniem oczu dyskretnie śledził przez chwilę wybiegającą gdzieś myśl, aż do prawego rogu sufitu, po czym powracał wzrokiem do tablicy. Parę osób stało teraz przy tablicy i przysłuchiwało się wywodom doktora Przybysza.

Był podniecony i upojony elegancją uzyskanego wyniku. Już w czasie wykładu zmienił pierwotny zamiar i zamiast ograniczyć się tylko do samego postawienia pytania — referował wyjaśnienie. Zdopingowało go grono słuchaczy, a z drugiej strony Okulicz był dostatecznie mocny, i nie opłacało się pognębić go przez samo tylko postawienie pytania, które, jak sądził, zawierało pułapkę. Wreszcie skończył wykład i z wyrazem spokoju na twarzy, który źle maskował przedzierające się na zewnątrz uczucie triumfu, czekał na reakcję. Na chwilę zapadło milczenie. Jakiś młody jeszcze student o żywych czarnych oczach i nerwowych ruchach, który od pewnego czasu zdradzał wyraźnie niepokój, zaczął coś mówić. Okulicz przesunął ku niemu w roz-targnieniu głowę i zatrzymał na nim niewidzący wzrok. Doktor Przybysz spojrział niecierpliwie na studenta, zawołał: „Chwileczkę” — i zwracając się do Okulicza począł wykazywać zalety swego rozumowania. Ale Okulicz, który od pewnego czasu najwyraźniej nie słuchał go, a nawet nie zwracał na niego uwagi i w zamyśleniu wpatrywał się w zapisaną tablicę, nagle poruszył się gwałtownie i zawołał jak by do siebie:

— No, naturalnie! To wynika po prostu ze znanego twierdzenia o krzywych ekstremalnych i z prostej uwagi, że...

Kilkoma szerokimi pociągnięciami wytarł część tablicy i na wolnym miejscu napisał szybko niewielką ilość wzorów i równań. Młody student o żywych oczach, z rozradowaną miną, energicznie, potakująco kiwał głową i uśmie-

chnięty rozglądał się po obecnych, jak gdyby biorąc ich na świadków, że przed chwilą właśnie miał zamiar powiedzieć dokładnie to samo. Okulicz zwrócił się ku Przybyszowi:

— To przecież jest całkiem banalne; ale pan to tak jakos dziwnie zakręcił, że w pierwszej chwili nie można się było zorientować, o co chodzi. Po co tu było łapać prawą ręką za lewe ucho...

Doktor Przybysz patrzy uważnie na tablicę i widzi jasno, że jakakolwiek próba obronienia sprawy będzie tylko pogłębieniem klęski. Widzi, pomimo że nie odrywa oczu od tablicy, jak gromada ludzi otaczających tablicę rozchodzi się powoli; pozostał już tylko rozradowany, uśmiechający się student. Czuje przykre drżenie palców rąk i wzbierającą ostrą nienawiść do rozradowanego studenta.

— Tak, istotnie, nie zauważyłem rzeczy, które leżały na wierzchu; zdarza się zresztą dosyć często, że gdy rzecz rozważana jest w pewnym kompleksie zagadnień, poszukuje się rozwiązania w związku z tymi właśnie zagadnieniami i nie widzi się prostych związków ze sprawami odległymi. Przez cały czas czułem, że coś jest nie w porządku, korciło mnie to rozumowanie.

Okulicz patrzył z początku spokojnie i uważnie, z takim wyrazem twarzy, jak by na coś czekał. Po chwili spojrzenie jego stało się obojętne i zmętniało, patrzył gdzieś poprzez jego głowę, kierując wzrok na jakiś punkt na czole koło przedziału. Przybysz tymczasem wciąż mówił:

— Jest to właśnie dobrodziejstwo istnienia ośrodków naukowych, że można porozumieć się i zaoszczędzić sobie masę niepotrzebnie traconego czasu...

Okulicz nagle coś mruknął, to miała być najwidoczniej zdawkowa grzeczność, i niespodziewanie w połowie zdania odszedł.

Pozostał tylko młodziutki student i w jego żywych oczach w dalszym ciągu świecił się uśmiech. Przybysz stał frontem ku niemu; poprzez wewnętrzny skurcz, który wstrzymywał wszelkie poruszenia i utrudniał oddech, odczuł potrzebę zmiany postawy ciała względem studenta; to trwało właściwie krótką chwilę, ale było straszliwie upokarzające.



Po chwili odwrócił głowę ku tablicy, co miało widocznie oznaczać, że powraca ku poruszonemu zagadnieniu. Ruch głowy pociągnął za sobą nieznaczny obrót ciała, stał teraz względem studenta w pozycji trois quarts. Przeczekał dłuższą chwilę, wpatrując się z udanym skupieniem w tablicę, przysunął się bliżej niej i odwrócił całkowicie. Po chwili jak by coś sobie przypomniał i nie oglądając się na studenta, szybko odszedł.

Seminarium było w pełni ożywienia. Wzdłuż długiego stołu stało i siedziało kilka osób przeglądając czasopisma oraz świeżo pożyczone książki. Dokoła panny Ireny i panny Oli zgromadzili się interesanci. Panna Irena ponuro, z poczuciem swojej wyższości, wyniośle nie podnosząc głowy i nie patrząc na interesantów załatwiała sprawy pożyczanych książek. Panna Ola roztaczała dokoła wesołe spojrzenia i uśmiechy, rzucała od czasu do czasu w tył głowy patrząc w górę poza siebie na stojącego za krzesłem młodzieńca, niekiedy parskała tłumionym śmiechem.

Jakiś kudłaty student siedział obok z głową nisko opuszczoną nad książką i wskazującym palcem, wysuniętym ze złożonej pięści, wodził po zadrukowanym papierze. Inni dwaj w kącie, żywo gestykulując, prowadzili zbyt głośną rozmowę. Przybysz stał przy stole i rozglądał się dookoła. Jego spojrzenie lepkie od nienawiści przesuwano się po twarzach i postaciach; wzmagał się głuchy opór i irytacja, która jak odskocznia wyrzucała ku świadomości intelektualizującą się zgryźliwość. W myśli padają okrzyki:

„Jak można tak wrzeszczeć tu w seminarium? Jak można do tego stopnia nie liczyć się z obecnością innych ludzi i powagą miejsca? Co za bezczelność!”

Nie może oderwać spojrzenia od tamtych dwóch. Ogarnia go rozdrażnienie, podsycane przez świadomość własnej racji i wspólnoty interesów w tym wypadku z resztą obecnych. Na końcu języka drży ostra uwaga. Gdyby teraz ktoś z oburzeniem albo tylko z wyrzutem spojrział w hałaśliwy kąt — uwaga padłaby. Ale nikt nie okazał oburzenia, a po chwili w kącie nagle się uciszyło. Przeczekał w natężeniu

dłuższą chwilę; a nuż złączą na nowo; nie poruszał się. Potem rozejrzał się po sali i wzrok jego padł na pannę Irenę:

„Nadęta tępota. Mina, jak by odprawiała nabożeństwo. Naukowa dewotka.”

„Co za barbarzyństwo wodzić zatłuszczonym palcem po książce; tylko patrzeć, jak dotknie brudnym nosem papieru, a te włosy już od dwóch tygodni nie czesane.”

„Co to jest? Jak można w podobny sposób zachowywać się w lokalu seminaryjnym? To przecież nie Luna-park!”

Nie wytrzymał; zawołał niegłośno, ale ostrym tonem:

— Panno Olu, czy z księgarni przysłali czasopisma dla zakładu mechaniki teoretycznej?

— Jeszcze nie.

— Pani miała tego dopilnować.

Panna Ola poczerwieniała i zmieszana nachyliła się nad kartoteką. Młodzieniec, który stał za krzesłem, nachylił się nad nią i coś chciał powiedzieć; odpowiedziała szybko, nie odwracając się:

— Niech mnie pan zostawi teraz w spokoju...

Panna Irena spojrzała uważnie w jej stronę, potem na doktora Przybysza, wreszcie z ledwo dostrzegalnym uśmiechem nachyliła się nad formularzem, a gdy jakiś student zapytał ją o książkę, podniosła wbrew zwyczajowi głowę i wysłuchiwała go patrząc mu prosto w oczy.

Rozdrażnienie wzbierało w Przybyszu, osaczyło jego zmysły, potrząsało i wykrzywiało każdą przedostającą się ku świadomości podniecie. Palce rąk drżą, usta zaciśnięte, a na bladej twarzy wyraz zaciętości i cierpienia.

Pewien starszy student, który stał po drugiej stronie, naprzeciw Przybysza, wyciągnął rękę, ażeby wziąć z tacki stojącej pośrodku stołu pióro; chciał wypełnić rewers na pożyczoną książkę. Nagle Przybysz gwałtownym ruchem zasłonił tackę.

— Stąd piór nie wolno brać.

Zdumiony student woła:

— Ależ ja na chwilę tylko... wypełnić ten druczek.

— Nie, stąd nie wolno brać.

Chwila milczenia. Przybysz widzi, jak kilka osób wokoło podniosło głowy i czeka, co będzie dalej; czuje zdziwienie i nieprzyjaźń, czuje również, że nie ma racji, ale to wzmacnia tylko jego zaciętość. Wobec rosnącego dookoła wrogiego oporu musi usprawiedliwić jakoś swój dziwaczny zakaz:

— Pióra rozrzuca się po wszystkich pokojach i kątach, ale kiedy jest komu potrzebne, to nie ma żadnego.

Jednocześnie czuje, że to nie jest to. Stary student, którego Przybysz pamięta jeszcze z pierwszych lat studiów, stoi pochylony nisko nad stołem i patrzy z nienawiścią na Przybysza. Zbladł. Doktora Przybysza ogarnia nagle wściekłość. Zbladł również. Przez chwilę stoją naprzeciw siebie w milczeniu. Nagle Przybysz wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki wieczne pióro, otwiera je, podaje studentowi i woła stłumionym od nienawiści głosem:

— Proszę, służę panu piórem.

Student wyprostowuje się, opiera się biodrem o krawędź stołu, patrzy przez sekundę z boku na Przybysza i odpowiada akcentując sylaby:

— Dziękuję panu, panie kolego.

I odchodzi.

Piotr Waldenau rozejrzał się po sali z uczuciem przygnębienia. Czuł się tutaj obcy i niepotrzebny. Ludzie pożyczali książki, oglądali czasopisma, przerzucali odbitki. Wokoło panny Ireny i panny Oli było tłoczno i gwarно. Niektórzy po otrzymaniu zamówionej książki niecierpliwie, na stojąco przerzucali kartki, widocznie szukając czegoś. Przy obydwu tablicach ktoś coś referował, od czasu do czasu wybuchała żywa wymiana zdań, ożywienie, wypieki na twarzach, podniecenie. Piotr zbliżył się do tablicy, postął, posłuchał, przeszedł do innej; potem z pewnego oddalenia przysłuchiwał się rozmowie Okulicza z profesorem Radeckim; przysłuchiwało się jeszcze kilka osób. Wszędzie rozmowy dotyczyły tematów o daleko posuniętej specjalizacji, niewiele z tego rozumiał. W pewnej chwili, gdy znalazł się przy stole, ogarnęło go ssące uczucie niepełnowartości, czuł się zarzucony tu przez zły los, opuszczony i samotny; nikt tu

do niego nie podejdzie, nikt nie ma i nie może mieć do niego żadnego interesu. Tuż obok porozumiewało się dwoje ludzi pochylonych nad kartką papieru; jeden patrzył w skupieniu na zapisaną kartkę, drugi, jakby w oczekiwaniu, patrzył z góry na jego głowę. Nieco dalej dwie głowy pochylone nad odbitką i trzecia zaglądnąca z boku, nagle uderzenie pięścią w stół i wesoly okrzyk: „A mówiłem!”. Przeszedł stary dziekan w towarzystwie ugrzecznionego i posuwającego się nieco bokiem z nadmiaru uszanowania doktora Przybysza; ci mówią o jakichś sprawach administracyjnych i gospodarczych. Opodal w grupie docentów Okulicz wysłuchuje z rozpogodzoną twarzą najświeższych dowcipów, parę osób śmieje się. Ale głupstwa, o których mówią, osaczone są poczuciem własnego znaczenia, wartości i zasług, świadomością twórczego dorobku. Dokoła błahych spraw trwa przyczajona w pogotowiu powaga i doniosłość uprawianej wiedzy; jej domyślna obecność zdaje się podkreślać i akcentować właściwy sens wytwarzanego nastroju. Niech ktoś w tej grupie przypomni sobie coś, co w trakcie jego naukowych poszukiwań wydało mu się uderzające, i rzuci jakieś zapytanie lub uwagę — spłoszone uśmiechy zniknęłyby z twarzy, a cały nastrój lekko bez troski rozwiałyby się łagodnie i szybko. I dlatego gdyby Piotr mówił tu o błahostkach, byłby w tym nieznośny fałsz, zgryźliwa rozbieżność pomiędzy tym, co jest niby poza tymi błahostkami obecne i co je usprawiedliwia, a faktyczną jałową pastką.

Jego sprawy, sprawy literatury, malarstwa, muzyki pozbawione były wszelkich znamion ścisłości — spotkałyby się tu z oporem i odrazą. Byłoby straszne, gdyby poruszył tu coś takiego. Na chwilę ogarnęła go tęsknota za ścisłą wiedzą o rozbudowanym aparacie technicznym, tą wiedzą, która daje oparcie o ustalone fakty i w tym oparciu stwarza możliwość odnalezienia spokoju, ukojenia i pewności. Wewnętrzny poryw przybrał na krótkie mgnienie postać postanowienia: zabierze się do roboty, odrobi zaległości. Przysunął do siebie leżący na stole gruby tom kursu Analizy, usiadł i począł go przerzucać. Próbował zanurzyć się z miejsca w tę wiedzę, ale wiedza okazała się ciężka jak rtęć i naty-

chmiast wypchnęła go na powierzchnię. Ponowne wysiłki nie odniosły żadnego skutku. Zatrzymał się na dowodzie pewnego twierdzenia, które dawniej sprawiało mu trudność. Usiłował zrozumieć istotę rozumowania, ale czegoś mu brakowało, czuł opór i zamęt myślowy. Tu rozpędem nie dawało się zrobić. Czuł się jak człowiek, który opada z sił i zrezygnowany osuwa się na ziemię. Patrzył bezmyślnie, niewidzącym wzrokiem, w książkę. Dokoła był wciąż wesoły, ożywiony gwar. Ktoś trącił go nagle w łokieć, ocknął się; młody student wskazywał mu pannę Irenę, która siedziała po przeciwnej stronie stołu, nieco dalej. Patrzyła na niego zaperzona, złym wzrokiem; powiedziała mrozącym tonem:

— Pan będzie łaskaw oddać tę książkę; jest zamówiona.

Zamknął tom, posunął do niej; usiadł bokiem do stołu; założył nogę na nogę, głowę oparł na dłoni. Był sam i opuszczony. Jego osamotnienie było tym głębsze, że dokoła siebie widział ruch, ożywioną wymianę myśli, ścieranie się ambicji, rozpęd. Nie mógł brać w tym udziału i zarazem nie mógł stąd odejść. Coś przykuwało go do tego miejsca, oczekiwał jak by czegoś jeszcze, przygnębienie bezbarwne i ponure ssało w piersi; siedział wciąż i bezwiednie grzebał się we własnym cierpieniu.

Przechodził doktor Przybysz, zatrzymał się, przywitał. Powiedział kilka słów; dostatecznie dużo, aby stało się zadostateczną niezbędną formalnością, i dostatecznie mało, aby okazane zostało lekceważenie i zaakcentowana własna wyższość. Spojrzał przy tym aż dwa razy w kierunku, w którym siedział, gdy się zatrzymał, jak gdyby to przywitanie trwało już zbyt długo, zaś tam, gdzie patrzył, oczekiwała go sprawa ważna i pilna. Piotr znów pozostał sam.

Nagle podszedł do niego docent doktor Okulicz. Piotr zauważył, jak opuścił ożywioną grupę, obejrzał się w jego stronę i uśmiechnął, ale nie przypuszczał, że to do niego znał go bardzo mało. Okulicz pochylił się z wyrazem uprzejmości na twarzy.

Piotr wstał. Był zaskoczony i zmieszany.

— Czy pan już zdawał egzamin końcowy? Słyszałem, że pan interesuje się teorią jednolitą pola grawitacyjnego

i elektromagnetycznego... Czy pan nie uważa, że sytuacja, jaka się w tej dziedzinie wytworzyła, a która przedstawia się dość beznadziejnie, pochodzi po prostu stąd, że wszelkie podejmowane próby sprowadzają się do uogólnień raczej mechanicznych, gdy tymczasem rozwiązanie zagadnienia zależy najpewniej od jakiegoś uogólnienia istotnego, którego teraz oczywiście niepodobna przewidzieć. Sytuacja jest w pewnym sensie analogiczna do tej, jaka się w swoim czasie wytworzyła, kiedy usiłowano za pomocą wektorów opisywać różne rzeczy, na przykład rozkład napięć w ośrodku ciągłym; wszelkie próby naturalnie do niczego nie prowadziły, bo doprowadzić nie mogły, bo rozkład napięć w ośrodku ciągłym to nie jest pole wektorowe, lecz pole tensorowe. To jest coś na kształt wpychania skrzypiec do niewłaściwego futerału. Podziwu godny jest upór, z jakim ponawiane są wysiłki zbudowania teorii jednolitej na tej samej wcięż, a moim zdaniem jałowej drodze. Czy pan nie uważa, że tak jest w istocie?

Piotr słucha zażenowany. Okulicz rozmawia z nim jak z równym, pyta go o zdanie i Piotr czuje się po trosze jak człowiek przyłapany na gorącym uczynku oszustwa. Tuż obok wyrasta jak spod ziemi milcząca postać młodego studenta z dużymi sterczącymi uszami i wyrazem uznania wyższości na twarzy. Stoi nieruchomo, w postawie pełnej uszanowania, w odległości jednego kroku i słucha, jego ciało przechylone jest ku przodowi, oczy patrzą nieco ku górze; w kącikach ust i w napiętych rysach podnieconej twarzy przyczał się w pogotowiu nie narodzony jeszcze uśmiech uznania. Piotr spogląda na niego przelotnie i odzyskuje powoli utraconą swobodę i sprężystość poruszeń; jego postawa ze skrepowanej i sztywnej staje się prawie niedbała. Ktoś zatrzymał się obok nich, chce przejść, ale nie może. Piotr lekkim dotknięciem dłoni o ramię Okulicza zwraca jego uwagę, że zagraża przejście, i zarazem posuwa go. Dotknięcie jest uprzejme, z lekkim odcieniem poufałości.

Okulicz ilustrował swoje wywody na jakimś prostym przykładzie. Piotr nie rozumiał; ogarnęła go tłumiona trwoga, aby się z tym nie zdradzić. Sposób, w jaki potraktował

go Okulicz, podźwignął go na poziom, na którym wypadło zorientować się z miejsca. Był tedy zajęty własnym stanem dezorientacji i płynącymi stąd obawami i nie mógł osiągnąć spokojnego skupienia, które by przyniosło zapewne rozwiązanie trudności. To, o czym mówił Okulicz, było dla niego jak zamglony obraz w źle nastawionej lunecie. Obawiał się zadawać pytania; chwila zastanowienia — nastawienie obrazu na ostrość — wydawała mu się kompromitacją. Patrzył tedy w niewyraźne kontury i nie mógł się w tym obrazie rozeznąć, a zarazem szukał sposobu, aby nie zdradzić się z tym, co widzi, i usiłował stworzyć pozory, że obraz widzi w całej jasności. Trwał tak w czujnym pogotowiu, ażeby w chwili tworzenia się kompromitującego wyłomu — ratować się pozorami. Ale ta czujność absorbując myśl uniemożliwiała skupienie uwagi, przesłaniała wzrok i czyniła, że nie widział nawet rzeczy prostych, które mógł dojrzeć z łatwością, gdyby je oglądał w spokoju i bez obawy kompromitacji. W pewnej chwili wypowiedział jakąś bardzo ogólnikową wątpliwość, którą Okulicz skwapliwie podchwycił i zaczął rozwijać. Wszystko szło zatem pomyślnie, oszustwo dotąd nie zostało ujawnione i jak to bywa zazwyczaj, niepewność i trwoga, największe na początku grożącego niebezpieczeństwa, ustępowały powoli, aczkolwiek niebezpieczeństwo bynajmniej nie stawało się mniejsze. Napięte w bezwiednym pogotowiu mięśnie ciała rozluźniły się, a w świadomości opadały więzy krępujące myśl.

Okulicza wezwali do gabinetu kierownika seminarium. Przerwał wywody w połowie zdania i odchodząc zapowiedział, że niebawem powróci. Student ze sterczącymi uszami uwolnił nareszcie przedzierający się na zewnątrz przyjazny uśmiech uznania. Zbliżył się do Piotra i grzecznie poprosił o jakieś wyjaśnienia. Uczy się właśnie rachunku tensorów i nie rozumie, dlaczego...

Piotr tłumaczy. W jego postawie i tonie wyczuwa się ledwo dostrzegalną protekcyjność i jak by dobrotliwą wyrozumiałość dla studenta. Myśl do niedawna jeszcze hamowana, trwożliwa jak bite zwierzę — nagle odzyskuje pewność siebie. Piotr nie wdaje się w szczegóły, mówi w sposób inteligentny i ogólnikowy, wskazuje zachwyconemu studen-

towi szerokie perspektywy myślowe, a uszczęśliwiony student, któremu nie chodziło w gruncie rzeczy o żadne wyjaśnienia, delektuje się rozmową z wysoko postawioną w hierarchii naukowej osobą: student jest jeszcze bardzo młody!

Uczucie niepełnowartości zniknęło bez śladu. Jakże się to stało? Wzbudzała je przecież świadomość braków i luk w posiadanym aparacie analitycznym, nie znał po prostu mowy, którą posługiwano się tu, był analfabetą; można było zaskoczyć go najprostszym pytaniem. Każde zetknięcie się z człowiekiem na tym terenie przynosiło dręczące uczucie niższości i groźbę klęski, już sama możliwość tego była przynębiająca. Rozmowa z Okuliczem powinna była, zdawałoby się, pogłębić uczucie niepełnowartości, była bowiem jaskrawym uwydatnieniem i zaakcentowaniem, w jego poczuciu wewnętrznym, istniejącego stanu rzeczy. Ale tak się złożyło, że ten stan rzeczy nie został ujawniony. Natomiast w rachunku obiegowych wartości seminaryjnych ukazała się wysoko wartościowa pozycja w postaci swobodnej, jak równy z równym, rozmowy z Okuliczem. Ta pozycja wycisnęła unізony uśmiech uznania na twarzy studenta i wyprężyła mięśnie jego ciała, spowodowała, że parę osób obejrzało się z odcieniem szacunku, a panna Irena rzuciła na niego nieco przeciągłe spojrzenie, jak gdyby sobie coś przypominała, i nagle zawołała:

— Pan, zdaje się, zamawiał drugi tom Goursata?

Uczucie niepełnowartości usprawiedliwione pewnym obiektywnym stanem rzeczy zanikało. Zanikało jedynie na skutek powstawania pozorów, że stan rzeczy jest inny niż w rzeczywistości. Zdawała się wystarczać okoliczność, że fałsz nie został zdemaskowany.

Wrócił Okulicz. Student ze sterczącymi uszami dyskretnie usunął się w bok. Okulicz wziął Piotra pod rękę, nachylił się do niego z tajemniczą miną.

— Mam do pana pewien interes, ale może przejdziemy lepiej tam do kąta.

Pociągnął go za sobą.

— Czy mógłby pan przechować u siebie przez jakiś czas paczkę, właściwie walizkę...

— Naturalnie, miałem już te rzeczy u siebie.



— No to doskonale. Dziś wieczorem przyniesie panu tę walizkę jedna pani. Aha, jeszcze jedno — zbieramy właśnie gotówkę na kaucję dla jednego z naszych towarzyszy, nie jest to zresztą wielka rzecz, wystarczy jakieś pięć złotych.

Piotr szybko wyjął pugilares i wręczył Okuliczowi dwudziestozłotowy banknot. Okulicz schował pieniądze, pozostał jeszcze przez chwilę, jak człowiek, który czuje się zobowiązany, i odszedł.

Piotr pozostał sam. Ustępowało podniecenie. Wewnątrz, gdzieś w piersi, wzbierała fala cierpienia. Było takie uczucie, że się coś wewnątrz wygina i łamie. Więc to o to chodziło! Nagle doznał wewnętrznego skurczu i gęsto zarumienił się, po co dał dwadzieścia złotych, po co wyskoczył. Żeby się postawić, przypodobać? Powiedziane było pięć, trzeba było dać pięć. Wstyd i rozpacz sparaliżowały na chwilę jego ruchy; stał ze zwisającymi rękami, czerwony, z głupawym uśmiechem i patrzył przed siebie.

Opanowało go uczucie żalu i obrzydzenia do siebie samego. Siedział przez dłuższy czas w kącie posepny i nieruchomy. Wszystko tu było obce, obojętne i wrogie. Potem cichaczem, nieco bokiem wyszedł do przedpokoju. Stary woźny Jan przywitał go. Uścisnął mu rękę.

— O, dawno już pana u nas nie było...

— Tak, a co u pana słyhać?

I stary Jan opowiedział mu o swoim małym wnuku, który był ciężko chory, ale, Bogu dzięki, ma się lepiej; i że dokuczają mu łamanie w kościach; i że ciężko mu na starość pracować.

W gwałtownie otworzonych drzwiach ukazała się postać doktora Przybysza.

— Janie, w gabinecie pana dziekana ktoś sobie z lampy na biurku zrobił popielniczkę, całe biurko zaśmiecone.

Jan zakrzętnął się, zamruczał, złapał ścierkę i śmietniczkę i wyszedł. Piotr został jeszcze jakiś czas, potem powoli zdjął z wieszaka swój kapelusz i palto i wyszedł.

Do grupy docentów przyłączył się profesor Radecki. Po chwili znalazł się przy nim człowieczek średniego wzrostu,

raczej niski, z okrągłą, krótko ostrzyżoną głową i zupełnie okrągłą twarzą. Twarz rumiana i świecąca się. Gdy ma przemówić, płacze się na początku i jąka. To było kiedyś, a później już miało być tylko wyrazem zmagania z piętrzącymi się trudnościami wysłowienia, w końcu stało się przyzwyczajeniem. Jest dyskretnie nadskakujący dla silnych, w sposób akcentowanie koleżeński dla równych i jawnie lekceważący dla nic nie znaczących. To jest docent doktor Jan Dormont.

Rozmawiając z profesorem Radeckim usiłuje najwidoczniej coś osiągnąć. Ale co? Czy intencje przemówienia biegną równoległe do treści merytorycznej wywodu? Niezwykle intensywna mimika twarzy, przeciąganie słów, zmiany rytmu, akcenty, w których brzmi czasem zdziwienie, to znów oburzenie albo prośba i zachęta, każą domyślać się, że tu chodzi raczej o wyciągnięcie możliwie najwięcej z tej krótkiej rozmowy; może o zademonstrowanie wysokiej klasy rozumowania, może czegoś innego jeszcze. Radecki odpowiada cichym, znudzonym głosem. Dormont słucha w milczeniu pełnym szacunku, a jego okrągłe oczy mają wyrażać skupienie, przenikliwość i uwagę. W rękę trzyma wypalonego papierosa. Ażeby wrzucić go do popielniczki na stole albo do spluwaczki w kącie, trzeba przerwać profesorowi, przeprosić i przejść parę kroków, trzeba zatem spłoszyć to coś nieuchwytnego, co zdaje się otaczać ich obu i co ma odbijać się na twarzy Dormonta. Ale Dormont delektuje się samym procesem kontaktu z człowiekiem potężnym; zajęty niedopałkiem papierosa przestaje uważać, ale jednocześnie czujnie i zarazem chciwie strzeże, aby nic nie przerwało ani nie skróciło rozmowy. Opuszcza powoli rękę, usuwa ją nieco do tyłu, zbliża dłoń z papierosem do nogi i puszcza nieznacznym ruchem niedopałek na podłogę. Patrzy wciąż prosto w oczy Radeckiemu z niezmiennym wyrazem przenikliwości, ale uwaga jego skupiona jest na dłoni manipulującej papierosem. Potem wciąż w tej samej pozycji, nie zmieniając wyrazu twarzy staje ostrożnie nogą na papierosie. Po chwili, gdy zabiera głos i odwraca się do tablicy, szybkim ruchem stopy odpycha niedopałek w kąt. Ale ruch wypadł niezręcznie, niedopałek obrócił się tylko i pozostał

na miejscu. Wtedy Dormont z wyrazem, który miał oznaczać zniecierpliwienie, że mu coś przeszkadza, spojrział sobie pod nogi. Profesor spojrział również. Dormont wzruszył lekko ramionami, zdradzając w ten sposób dyskretnie swoje zdziwienie i oburzenie na to, że na podłogę rzucają się papierosy. Potem odepchnął niedopałek nogą w kąt i powrócił do wywodu.

Okulicz, który również stoi w grupie docentów, od dłuższego czasu przysłuchuje się uważnie i milczy. Szykuje się widocznie do skoku.

Jego ruchy są niedźwiedzowate, ociężałe i jak by zahamowane. Gdy ma przemówić, najpierw powie coś, po czym następuje krótka pauza i dopiero mówi dalej, powoli, wążąc każde zdanie, jak gdyby przeszkadzało mu to wszystko, co uwija się dokoła wypowiedzianych słów, wybiega naprzód, przelewa się szeroką falą poprzez wysławianą treść i usiłuje uzupełnić ową „resztę”, której brak słowom. Każda jego przemowa ma charakter i wagę wystąpienia, posiada ciężar gatunkowy. Zawsze w tym, co powie, jest jakaś pointa, jakieś zaskoczenie, jakieś wzniesienie się ponad płaszczyznę, w której sprawa jest rozważana, nowy niespodziewany punkt widzenia, odkrywczość. To chyba sprawa nieposkromionej, a zarazem skrętnie ukrywanej ambicji, że nie zdobyłby się na przemówienie, które nie zawierałoby cech paradoksu, elegancji lub istotnego pogłębienia rzeczy.

— Oglądał pan te listy?

— Naturalnie, któż by ich nie oglądał.

Docent doktor Dormont przerwał w połowie zdania ożywioną rozmowę, szybko odwrócił się i uśmiechając zawołał:

— Co, listy? Mowa o Radonie, nieprawdaż?

Po twarzach przesunęły się mimowolne uśmiechy — radość pogiębienia bliźniego. Dormont zwrócił się do Radeckiego:

— Czy pan profesor oglądał już te listy?

Radecki nieco zażenowany odpowiada niechętnie:

— Pan Radon pokazywał mi list od Painlevégo z gratulacjami z powodu osiągniętych wyników i list od Einsteina

bardzo entuzjastyczny, a nawet czuły, w którym było coś o ojcostwie duchowym i o sercu.

Na twarzy Okulicza, który patrzył przed siebie, uśmiech stał się nagle intensywniejszy. Wysunął brodę nieco naprzód. Pocierał złożone na wysokości piersi dłonie. Głowę przechylał przy tym nieco w bok, w oczach świecił się uśmiech i przedsmak pointy tego, co za chwilę powie.

— Proszę panów, właściwie zachodzi tu nieporozumienie. Osoba Radona skojarzyła się u nas wszystkich z owymi listami; gdy słyszymy o Radonie — myślimy tylko o listach. Ale przecież z tych listów nie wynika bynajmniej, że pan Radon nie jest dobrym matematykiem.

W grupie docentów rozległ się śmiech. Okulicz śmiał się również hamowanym śmiechem, unosząc głowę do góry.

— Podobnie jak z tego, że pan Dormont napisał książkę o topologii, nie wynika bynajmniej, że się na topologii nie zna.

Rozjaśnionym, rozumnym spojrzeniem, które uderza przenikliwością, patrzy w jakiś obojętny punkt przed siebie. Po chwili rezolutnie dodaje:

— Moim zdaniem Radon to pierwszorzędna głowa.

Magister Burke, asystent przy katedrze geometrii analitycznej, który przed dwoma tygodniami powrócił z międzynarodowego zjazdu analizy wektorowej w Moskwie, rozmawiał w kącie pokoju z doktorem Sawą o Związku Radzieckim.

Jego wyjazd do ostatniej chwili nie był całkowicie pewny. Udało mu się wszakże uzyskać zaproszenie na zjazd, potem przyszła seria sukcesów: otrzymał bezpłatny paszport zagraniczny i zwolnienie od opłaty za wizę. Był w tym czasie w stanie ustawicznego podniecenia: wyjazd do Związku Radzieckiego, nieliczny ze względu na bardzo wąską specjalność zjazd, w którym miały wziąć udział największe asy europejskie — osobiste zetknięcie się z ludźmi, których nazwiska były tak sugestywne, jak gdyby umarli przynajmniej przed kilkudziesięciu laty.

Odcinek życia, który miał niebawem nastąpić, był źród-

łem licznych i intensywnych marzeń. Sprawy niedalekiej przyszłości układały się dokoła kilku jąder marzeniowych o specyficznej barwie wzruszeniowej. Czasem były to migawkowe obrazy: poczucie wyższości, bezkarności, pewności siebie gościa-cudzoziemca wobec onieśmielonych tubylców. Eleganckie palto, szerokie w ramionach, zwięzające się w biodrach, nowe lśniące półbuciki, getry, miękki pilśniowy kapelusz i reniferowe rękawiczki. Kroczy tak ubrany ulicą, a dokoła rubachy, czapki, nie doprasowane spodnie, powykręcane trzewiki, gołe czerwone ręce... Myśl przylepia się i trwa delektując się, jakby powstrzymana w biegu, a w duszy coś zanurza się w osobliwej mgiele wzruszeniowej otaczającej obraz.

Schauten, Levi-Civita, Cartan, Blaschke, przyjęcia, wycieczki, bankiety, powolne dystyngowane poruszenia, pięknie skrojone ubranie; spokojne wyczekiwanie, aż rozmówca skończy, i powolna, niegłośna odpowiedź... Podskórne ciśnienie tego, co ma być europejskością, obszar spraw, które zostają w marzeniu zaakcentowane dla ujawnienia swojej przewagi nad barbarzyńcami i przesuwające się wzdłuż tych akcentów bezimienne lepkie wzruszenie.

Wygłosi referat. Referat zawiera niewątpliwie oryginalne ujęcie niektórych podstawowych spraw. Ten referat staje się ośrodkiem szczególnie intensywnych marzeń. Wygłasza go w myśli idąc ulicą, leżąc w domu na tapczanie, w najrozmaitszych odmianach. Marzenie biegnie bez pośpiechu wzdłuż treści referatu, a wokoło w cieniu przyczaili się ludzie czy też coś, co te marzenia pobudza i otacza je wzbierającym wzruszeniem. Jest osobliwy urok w przemawianiu marzeniowym do grupy wielkich uczonych, coś, co nie jest podnieceniem ani wzburzeniem, ani podniesieniem na duchu, a co zawiera po trosze z każdego z tych stanów i jeszcze delektowanie się samym procesem i jak by upojenie. Czym? Czy samą obecnością tych wielkości? Czy nawiązywaniem z nimi kontaktem? Czy ujawnianiem swego poziomu intelektualnego? A może to po prostu działanie sprzyjających warunków, potęgujących odczucie wygłaszanej treści, znaczenia, które w niej tkwi? Czy też może przeczucie sukcesu?

Ale najbardziej intensywne marzenia grupowały się dookoła spraw po powrocie ze zjazdu. Będzie ośrodkiem powszechnej uwagi. Przyglądał się chciwie narzucającym się obrazom, akcja ciągnęła się w myśli powoli i leniwie, cofając się często wstecz: seminarium... profesor Radecki... profesor Klinge... profesor Milewski... Okulicz, Sawa, Dormont, Przybysz... każda postać jest ośrodkiem skupienia marzeniowego, jest ośrodkiem utajonego ataku.

Znajomi, przyjaciele, prywatne zebrania urządzone specjalnie dla niego, aby mógł wobec liczniejszego grona opowiadać o swoich wrażeniach...

Była pełnia życia w podniecającym oczekiwaniu na to, co miało nastąpić. A potem był wyjazd i kroczenie po ulicy, i bankiety, i referat, który zyskał ogólne uznanie i spowodował, że jeden z największych asów uważał za stosowne zmienić pewne swoje poglądy; potem powrót i ośrodek uwagi, i prywatne zebrania...

I otóż teraz okazało się, że wzniecone sztuczne światła pogasły, pstrokaczna odświeżonych barw i świecideł zbladła i poszarzała. Zupełnie jak po balu. Ustąpiła radość życia, a na jej miejsce zjawilo się gniotące przeświadczenie, że się nic w gruncie rzeczy nie osiągnęło, nic nie zrobiło; że nie było żadnego wysiłku twórczego, żadnego wysiłku naukowego, nic, co by mogło się stać ostoją w wewnętrznym poczuciu własnej wartości. Nie było rzetelnego skupienia ani żadnych znamion talentu. Była uroczystość, po której pozostały rozrzucone w nieładzie śmieci i budzący się szary smutny dzień. Tak, to było pewne: pozorami sukcesów, sukcesów z drugiej i trzeciej ręki można było wprowadzić w błąd innych, ale niepodobna było oszukać samego siebie.

Doktor Sawa, nie dowiedziawszy się nic o sprawie, która go interesowała, odszedł zniechęcony. Zbliżył się natomiast ów uszasty student i z pokornym uśmiechem oświadczył, że jak słyszał, pan doktor był niedawno w Rosji, więc czy mógłby prosić... Burke odpowiada grzecznie, ale urzędowym tonem:

— Przede wszystkim nie jestem doktorem. Poza tym, czym mogę panu służyć, co mianowicie interesuje pana?

Po chwili jednak rozgadali się. Po jakimś czasie przecho-

dził w pobliżu docent Dormont. Słyszac ozywioną rozmowę zatrzymał się z przyzwyczajenia na chwile, wyciągnął głowę w stronę rozmawiających. Doleciały go słowa:

— ...w Mostorgach można w zasadzie dostać wszystko to, co jest w Torgsinach...

Dormont ruszył raptownie z miejsca. Gwałtowność poruszenia wyrażała rozczarowanie i zniecierpliwienie, zdawała się akcentować, jak dalece zbędne było jego zatrzymanie się.

Pozostał tylko rozpromieniony uszasty student, którego sterzące uszy przybrały od nadmiaru wzruszeń czerwono-fioletowy kolor.

Od czasu powrotu ze wsi Radon nie był jeszcze ani razu w seminarium. Bywał tu zresztą w ogóle rzadko. Wchodząc po schodach miał nieokreślone uczucie oczekiwania na coś. To było jak trema przed wystąpieniem publicznym; serce biło mocno i szybko. Musiał zatrzymać się na chwile i przeczekać, aż się uspokoi, potem bardzo powoli ruszył naprzód. Był bledszy niż zwykle. Na twarzy ukazywały się reżyserowane mimo woli uśmiechy i wyrazy; w pewnej chwili pochylił nieznacznie głowę, wysunął w przód brodę, uniósł plecy, jak by się czemuś dziwił, i rozstawił uśmiechając się ręce.

Przed drzwiami seminarium zatrzymał się na chwile, jak by czekał na coś w niepewności i rozterce. Wreszcie wszedł.

W przedpokoju Jan, który go nie znał, podniósł się z urzędową miną z krzeselka i nieznacznie lekko wyprężony przyjął od niego palto. Przez przedpokój szybko, prawie biegiem przeszedł jakiś mocno zaaferowany pan, wpadł do bocznych drzwi, zderzył się tam z kimś i szybko zawołał:

— Radecki powiedział, że w małej salce to będzie niemożliwe...

Radon przeszedł powoli do pokoju. Było tam sporo ludzi. Parę osób zastanawiało się nad czymś przy tablicy. Wokół długiego stołu stali i siedzieli, pojedynczo i grupami, nie znani mu ludzie. Ktoś zadzierając głowę stał przed szafą i oglądał przez oszklone drzwi stojące na półkach książki.

Ogarnęło go nieokreślone przykre uczucie. Zauważył doktora Sawę, który gorąco tłumaczył coś jakiemuś starszemu panu. Krótkowzroczny Sawa właśnie się obejrzał, popatrzył na niego uważnie, widocznie nie poznając go, potem z pośpiechem i z odcieniem zniecierpliwienia szybko przywitał się i odwrócił ku starszemu panu. Radon stał chwilę, jak by nie mógł ruszyć się z miejsca, potem ostrożnie odsunął się i wcisnął w kąt pomiędzy biurkiem i szafą. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Rozglądał się po sali. Teraz, kiedy siedział bezpiecznie w kącie, przykre uczucie jak by popełnionej gaffy, które powodowało wewnętrzne zahamowanie, ustępowało powoli. Ogarnęła go głęboka pogarda dla tych ludzi. Budząca się pogarda stanowiła wyzwolenie ze stanu upadku i poniżenia, jakie przed chwilą przeżył. I jak zwykle wyzwalało się ze stanu depresji rozszerzając się i systematyzując budziło radość życia. W duszy wznosiła się szeroka fala wzruszenia: słodycz minionej goryczy, pycha i upojenie. Było w nim niezwykle ostre i jasne wycucie śladów, wzdłuż których posuwała się myśl, ich zadziwiająco w wytwornym wyrafinowaniu wygięcia; myśl zdawała się być przy tym wysunięta niezwykle daleko, gdzieś, gdzie nikt jeszcze nie był, gdzie była jasność, świeżość i chłód. Przecież nie poniżyłby się nigdy do rozważania byle jakich spraw; przecież to, co badał, to były rzeczy ważne, najważniejsze, najbardziej istotne; stawał oko w oko z czymś, co odczuwał jako rzeczywistość, co było niesłychanie zdradliwe, wymykające się, grząskie, nieuchwytnie, a przede wszystkim trudne, piekielnie trudne.

To było jasne, że ludzie tutaj grzebali się w płytkich bagienkach nikomu nie potrzebnych spraw; wałkowanie jałowych konsekwencji, równie jałowych twierdzeń; rozkawałkowanie otrzymanych przez kogo innego wyników do nieskończoności na wszelkie możliwe przypadki i przypadeczki; nudna zabawa w systematyczny wykład; przesadne precyzowanie wywodów, to jest zohydowanie rzeczy pięknych, polegające na wyliczeniu wszystkich bez wyjątku przejsć w rozumowaniu... Ci ludzie z zapałem godnym lep-



szej sprawy stwarzali pozory, że uprawiają naukę. Ale tak pośledniego gatunku gromadna przeciętność nie znosi niczego, co ponad nią wyrasta, będzie usiłowała skrycie, w kryjomu zgnieść, zohydzić każde żywsze poruszenie twórczej myśli; wszystko, co wybiega wzwyż — ściągnie do swego poziomu; będzie nieprzyjazna i wroga; będzie usiłowała złamać wszelki opór; zakracze! Zarówno ci rozgorączkowani i podnieceni, jak ci, co chodzą z nadętymi minami entuzjaści, sceptycy i snobi — to ludzie pozbawieni odwagi samodzielności myślenia i niezdolni do twórczego wysiłku to marna pasożytnąca na naskórku wiedzy narośl...

Nie było w nim tych słów ani takich myśli. Ale właśnie tak zapewne zintelektualizowałoby się błędzące w nim, wahające się pomiędzy upojeniem a zgryźliwością, nieziszczone pragnienia odwetu. Przyszedł tu wyciągając ku ludziom ramiona — tak teraz wyglądało to w górnej warstwie rozumienia, a rozumienie to nabierało cech prawdziwości przez unoszące się dokoła, połyskujące egzaltacją wzruszenie. Ale w głębszej warstwie odczuwania te wyciągnięte ramiona to była chęć pławienia się we własnej wielkości, pragnienie wywyższenia się, pognebnienia innych. A poryw wzruszeniowy był to po prostu sprytny podstęp czegoś w nim, co zmierzało krętą drogą do wywołania objawów uznania i uwielbienia.

Ale ludzie, zajęci sobą, nie zauważyli wyciągniętych ku sobie ramion, odwrócili się albo patrzyli w niego jak w puste miejsce.

Do biurka, które stało obok, podszedł doktor Przybysz. Przywitał się sucho i zaraz potem zaczął coś skrzętnie notować na małym skrawku papieru. Zanotował, zajrzał do rejestratora z rachunkami, potem dłuższą chwilę zastanawiał się patrząc w papierek, spojrzął w okno, znów coś zanotował i dodał. To trwało dosyć długo. Wreszcie skończył i zwrócił się do Radona:

— Przeglądałem pańską ostatnią pracę.

Radon poruszony odpowiada:

— Tak...

— Są tam dwa istotne pomysły. Właściwie, gdy się ma te dwa pomysły, uzyskanie wyniku nie przedstawia już

większych trudności. Jeden pomysł — to potraktowanie współczynników równania jako tensorów i przedstawienie równania w postaci tensorowej — to już w swoim czasie w nieco innej formie zrobił Hilbert. Drugi kapitalny pomysł to spostrzeżenie, że parametrysa równania znika tożsamościowo na całej powierzchni stożka świetlnego. Tylko że pan nie wiadomo dlaczego przypisuje temu spostrzeżeniu niezwykle wagę i uważa je za odkrycie, gdy tymczasem wynika to z zupełnie prostego przekształcenia całki Greena.

— Jak to?!

— No, proszę...

Przybysz przysuwa się do Radona i na odwrotnej stronie jakiejś deklaracji szybko wypisuje szereg wzorów i równań.

— To przecież zupełnie elementarne przekształcenie!

Patrzy uważnie na Radona, dostrzega zmieszanie i jakby grymas, który miał oznaczać widocznie uśmiech, na jego pobladłej twarzy. Oczy Przybysza wyrażają zaciekawienie, a w kącikach ust przycaił się ledwo dostrzegalny uśmiešek.

Radon widzi, że jego wynik otrzymuje się za pomocą nieskomplikowanego przekształcenia na drodze czysto formalnej. Na chwilę ogarnia go zamęt i przerażenie. W ustach sucho, musi przełknąć ślinę; na twarzy zastygł bezsensowny uśmiech — może ten uśmiech ma stworzyć pozory, że sytuacja nie jest tak bardzo poważna. Ale jednocześnie coś w nim burzy się i opiera. Nie, jego straszliwy wysiłek nie był czczy i bezpłodny; to nie jest sprawa takiego czy innego przekształcenia, tu chodziło o znalezienie przyczyny pewnych zjawisk, przyczyny ukrytej niezmiernie głęboko; tu trzeba było zmienić w sposób istotny punkt widzenia, trzeba było widzieć to, co ukryte było dotychczas w gąszczu analitycznym. Zresztą tak czy inaczej otrzymał przecież wynik obiektywnie potężny. Ale prosty wywód leży przed nim na stole i zdaje się stawać pod znakiem zapytania istotny fragment jego twórczych wysiłków. Ogarnia go znów uczucie zapadania się gdzieś, dezorientacji i rozpacz. Podnosi głowę i spostrzega nieruchome, badawcze spojrzenie Przybysza i zastygły uśmiešek zadowolenia na jego

twarży. Ogarnia go nienawiść do tego człowieka i to uczucie nienawiści jest jak wyzwolenie...

Do sali wszedł profesor Radecki. Zauważył z daleka Radaona i ruszył ku niemu przyspieszonym krokiem uśmiechając się... Gdy był już w odległości kilku kroków, wyciągnął ku niemu rękę i zawołał:

— Witam pana! Kiedyż pan wrócił?

Potem ścisnął mu mocno rękę; dotknął jego ramiona a ten gest był niezwykle przyjazny, objął go i nie zwracając zupełnie uwagi na doktora Przybysza pociągnął za sobą.

Doktor Przybysz patrzył za nimi. Opierając się palcem wskazującym i kciukiem o blat, nieco pochylił się nad stołem. Z twarzy jego zniknął triumfujący uśmiezek; był teraz zimna i zła. Omylił się: stracił walor, który gwałtownie skoczył w górę.